

Lwów, czwartek 22 listopada 1928.

POBUDKA

WYDANIE JUBILEUSZOWE

Czysty dochód przeznaczony na wdowy i sieroty po Obrońcach Lwowa.

RODACY!

Lwów w naszych rękach.

Dziki najazd ukraiński na stolicę kraju, został po bohaterskich i krwawych walkach odparty. Droga a obfitą krwią polską okupił Lwów swą wolność, krwawiąc się trzy tygodnie wśród strasznych warunków, walcząc z wrogiem wolnym od poczucia wszelkiej odpowiedzialności.

Dzięki mężnej postawie całej ludności miasta, dzięki jego bohaterskim obrońcom, dzięki wreszcie wytrwałości i cierpliwości z jaką polska ludność miasta znosiła terror i głód — Lwów pozbył się najeźdźców i dał wspaniały wobec całego świata dowód, że był, jest i zawsze pozostać musi polskiem miastem.

Wam mieszkańcy miasta Lwowa przypada historyczna zasługa obrony swego grodu.

Wam winna dziś cała Polska głęboką cześć, wdzięczność i podziękę, za Wasze bohaterstwo, za bezprzykładne poświęcenie i trudy.

Okażcie do końca wielkość ducha. — Karność i porządek niech zapanują w zwycięskim mieście.

Spokojna ludność ruska, niesolidaryzująca się czynnie z aktem terrorystów ukraińskich, może liczyć na pełne uszanowanie swych praw, zgodnie z tradycją, cechującą od początku naszą historję.

Naczelna Komenda Wojsk Polskich

MĄCZYŃSKI m. p.

ARTUR SCHRÖDER.

W KRWAWEM GNIEŹDZIE.

Krwiań ociekłe, zgłodniałe, w łunie ognia znów,
nie zdoławszy zabić jeszcze świeżych ran,
nieugiętych, kresowych gniazdo polskich lwów
w huraganie dział gnie się, jak pod burzą łan.

Zpośród ciężko nawisłych ponad miastem chmur
raz po razu wyblyska niewstrzymany grom,
z jękiem cichym ktoś pada pod uliczny mur —
wali się gdzieś z łoskotem rozszarpany dom.

Miedzy ludźmi chichocząc chadza jawnie śmierć,
towarzyszką się stała już nocą i dniem —
w chudych dźwiga piszczelach kośy krwawej żerdź
i zabija bezbronych swym trującym tchem.

Nikt nie myśli już o niej. Jeden więcej trup
wszak nie zdoła przerazić bólem skutych serc
w mieście, które jest całe, jak otwarty grób,
przemieniony w ostatnią z zapomnianych twierdz.

Z jej niezłomnych i dumnych, ogniem żartych baszt
tak, jak dawniej, powiewa Święty Biały Ptak —
niby w morzu tonący okrętowy maszt
całej Polsce ostatni daje życia znak.

Oczy dymem zławione, trudem zryta twarz,
rozpalony karabin grzmi z omdlałych rąk,
a nie zejdzie z placówek czujna, wierna straż,
murem ciał się młodych waląc gęsto wkrąg.

Zołnierz, dziecko, kobieta — każdy dobrze wie,
że mu życie ofiarnie trzeba teraz nieść,
że choć dusza już w męce łamie się i gniew,
bój trza stoczyć ostatni o wolność i cześć.

Czy słyszycie jak gromem ziemia zdała drży,
jak zbudzone powstają widma dawnych snów?
To od baszty kresowej lecą wici skry,
że w obronie was wszystkich w krwi się pławi Lwów!

Przebieg walk listopadowych.

Noc z 31/X. na 1./XI. Na wiadomość o knowaniach i zamierzonym zamachu ukraińskim odbywa się zebranie połączonych tajnych organizacyj wojskowych: P. O. W., P. K. W. i P. K. P., na którym naczelnym komendantem wszystkich sił zbrojnych we Lwowie obrany zostaje kpt. Czesław Mączyński, komendant P. K. W. W domu Akademickim przez całą niemal noc trwa pogotowie wojskowe.

1. XI. Miasto zajęte przez ukraińców. Nacz. Komenda Polska rozpoczyna akcją mobilizacyjną z punktem zbornym koło kościoła św. Elżbiety. W górnej części miasta wywiązują się sporadycznie starcia jednostek lub oddziałków polskich z ukraińcami, uwięzione zdobywaniem broni. Główny punkt koncentracji — Szkoła Sienkiewicza (kpt. Trzeźniowski) a także Dom Techników (ppor. Wasilewski). Naczelną komendę organizuje biura zaciągowe w całym mieście.

2. XI. Zdobycie magazynów broni (12.009 karabinów, 2 miliony naboji). Zdobycie dworca gł. (por. Schram). Ciągłe zyskiwanie na terenie w górnej części miasta. Z Rzęsny ściąga się pierwsze armaty. Chwilowe zawieszenie broni.

3. XI. Rozszerzenie terenu polskiego: Technika-cerkiew Jura-Gródeckie po koszarach Ferdynanda-Ogród Jezuicki-ul. Sapiehy do końca Wuleckiej. Zajęcie lotniska. Naczelną Kmda mobilizuje mężczyzn do 45 roku życia.

4. XI. Zdobycie Góry Stracenia (rtm. Abraham), wciągnięcie w nasz teren Szkoły Kadeckiej (rtm. Bieńkowski). Skrzepnięcie linii bojowej. Ostateczna centralizacja działań w Nacz. Komendzie. Naczelną Komendę Mączyński dzieli teren polski na 5 sektorów (I. sektor: Potockiego, Lenartowicza, Pełczyńska. — Komendant por. Dr. Bujalski, por. Dzieduszycki; II. sektor: Nowy Świat, Karpińskiego, Mickiewicza, por. Swieżawski; III. sektor: Na Błonie, pl. Biczewskiego, Leona Sapiehy, kpt. Łoziński, rtm. Cieński; IV. sektor: Gródecka, Na Błonie, kpt. Majewski, kpt. Pieracki; V. Sektor: Gródecka, Potockiego, kpt. Baczyński). Sektory tworzą 2 grupy. Komendant 1. grupy kpt. Trzeźniowski, komendantem 2. grupy kpt. Boruta-Spiechowicz. Siedziba głównej komendy przy ul. Grunwaldzkiej.

5. XI. Obrona dworca kolejowego (Śmierć sierż. Kolbuszewskiego).

6. XI. „Pobudka“.

7. X. Opanowanie Skniłowa (ppor. Wolak). Zdobycie tam 12 armat i po ciągu amunicyjnego. Walki w dzielnicy Żółkiewskiej i Zamarstynowskiej.

8. XI. Krwawe walki w ogrodzie Jezuickim. Obsadzenie kościoła św. Anny.

9. XI. Rozszerzenie terenu walk.

10. XI. Ataki ukraińskie w ul. Mickiewicza i na Dyрекję kolejową. Ostrzeliwanie Koszar Ferdynanda i Cytadeli przez naszą artylerię. Spalenie Sokolnik przez bandy ukraińskie.

11. XI. Zajęcie przez nasze oddziały ulic Jachowicza i Rappaperta. Ostrzeliwanie szpitala na Technice przez ukraińców. Oczyszczenie Biłohorszczy z band ukraińskich (kpt. Boruta). Oddziały nasze zajęły Rudno i Zimną Wodę. Lotnicy obrzucili bombami baterię na Wysokim Zamku.

12. XI. Ataki ukraińskie na Wulkę i Szkołę Kadecką. Walki w dzielnicy Janowskiej. Zwycięskie walki kpt. Boruty pod Kulparkowem.

13. XI. Odparcie ataków ukraińskich między rogatką wulecką a stacją kulparkowską, w Hołosku Wielkim i na Górze Stracenia.

14. XI. Odparcie ataku ukraińskiego od strony Cytadeli (por. Mond) i na Szkołę Kadecką. Artylerja ukraińska silnie ostrzeliwuje polską część miasta.

15. XI. Powtórny bezskuteczny i z krwawymi dla wroga stratami odparty atak na Szkołę Kadecką. Zajęcie ulicy Zygmuntowskiej i obiektów w koszarach Ferdynanda. Baterje ukraińskie na Zamku zmuszone do milczenia.

16. 17. Ponowne zwycięskie walki na odcinku Szkoły kadeckiej. Odebranie elektrowni na Persenkówce. Opanowanie wsi Suchowoli. Zajęcie Rzęsny Ruskiej, Kozic i Domażyra.

17. XI. Rozszerzenie stanu posiadania na Zamarstynowie (ppor. Starck). Od godz. 6. rano 48 godzinne zawieszenie broni. Najsilniejszy atak na Szkołę Kadecką, po 4 godzinnej przygotowaniu artylerji, załamuje się pod murami Szkoły Kadeckiej wskutek kontrataku załogi. Rozszerzono stan posiadania po ulicę Stryjską, Poniatowskiego, Pułaskiego i górną część św. Zofji.

18. XI. Zawieszenie broni.

19. XI. Przedłużenie zawieszenia broni o 24 godzin do 21. XI. do godz. 6 rano „celem dania możności delegatowi Rządu francuskiego porozumienia się z obu walczącymi stronami“.

20. XI. Zawieszenie broni. O godz. 4. popoł. pierwsze pociągi z odsieczą na dworcu Czerniowieckim.

21. XI. O godz. 6. rano rozpoczęcie generalnej ofensywy polskiej. Walki trwają przez cały dzień i całą noc. Biorą w nich udział oddziały odsieczy pod wodzą ppłk. Tokarzewskiego.

22. XI. Miasto opanowane w całości przez nasze oddziały o godz. 6. rano. Ukraińcy wycofali się w kierunku północno-wschodnim.



Kpt. TATAR TRZEŹNIOWSKI
Komendant I. Załogi Obr. Lwowa w szkole Sienkiewicza.

W przeddzień kataklizmu, 31. października kpt. Tatar - Trześniowski zwołał swoich. Stańto ich czterdziestu.

Któż nie zrozumie, że była to beznadziejna garstka.

Tatar - Trześniowski więc wysłał taką kartę służbową do kpt. Kamińskiego.

Tak. Byliśmy nieliczni, nieprzygotowani; wyszliśmy nowym światem naprzeciw bez decyzji zwartej, bez inicjatywy olśniewającej.

Dziś, po latach dziesięciu, możemy spokojnie myśleć o lęku przed szaleństwem hazardowaniem u ludzi, którzy tylko samych siebie umieli rzucić

mróz listopadowych nocy i ta straszna kośba śmierci, o której nawet nie słyszeli.

I stało się inaczej!

Dziecko lwowskie przetrwało wszystko, okazało się idealnym żołnierzem, dla którego nie istniały żadne przeszkody; któremu za mało było nie chleba, gościa dość rzadkiego, lecz naboju, które trzeba było gwałtem ściągać na wypoczynek kilkugodzinny po dniach i nocach krwawych zmagani; pilnować by ze złe wygojoną raną nie uciekało ze szpitala na linie bojowe, by nie rwało się tam, gdzie najgęściej ścieliły się trupy.

Nikt tym drogim, małym chłopiętom nie mówił, że obrona Lwowa jest poniekąd obroną całej wschodniej połaci kraju, że jeśli Lwów padnie, zagony dzikich najeźdźców rozleją się jeszcze dalej po Polsce, że zniszczą jeszcze bardziej wiekowa kultura polska, że jest obowiązkiem i honorem naszym bronić wydanego podstępem przez Prusy i Austrię na łup miasta, że rozgrywa się moment, który zawży w dziejach. — Zrozumiały to same przedziwne mądrze, przeczuły to ich serca gorące i czyste, mężne dusze, tęskniące od zarania do czynu, jakiby dorównał tym, ze sławnych pobojuwisk i tym do ostatka ofiarnym z 31 i 63 roku...

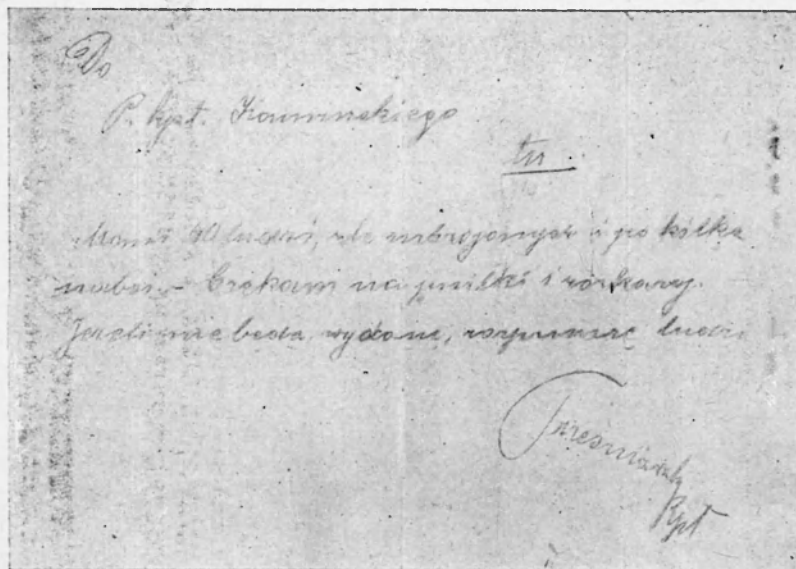
Ożywiła je wiara, że zwyciężyć muszą, że wytrwać muszą, aż nadejdzie pomoc.

Im, tym dzieciom swoim, Lwów podobnie jak polskiemu żołnierzowi, którego garstka tu była, zawdzięcza swe ocalenie.

Pomoc, jaka potem nadeszła, zastała już większą część miasta w rękach polskich.

Najstraszniejsze walki uliczne, już się dopełniły — żołnierz polski i dziecko polskie zdobyły już sobie, niemal gołemi rękoma, armaty, samochody, kulomioty i amunicję.

[To te kilkunastoletnie. A inne dzieci, o wiele mniejsze od karabinu, to kochane nasze „kartoflane wojsko“ pomagające w kuchni, w magazynach, szpitalach, noszące w małych, marz-



na szalę wypadków. Dziś spokojnie słyszymy, jak to niewola i gorsze od niewoli, rozczarowania wojenne wyczerpały serca ludzkie; brakło szerszego oddechu, nadśłuchiowano, czy istotnie zabrzmi jakiś Złoty Róg...

Nie było piersi na miarę Fidjasa, lecz było tyle, tyle piersi na zwykłą

polską miarę; tuż przed samym progiem poniżenia się skapali się w ra-

dosnym huku wystrzałów, otrzęśli się ze znużenia nerwów i stali się murem, który społt nie jakiś magiczny nadczłowiek, ale zawołanie:

O BOWIAZEK POLSKIEGO

R Y C E R Z A !

ORLE LWOWSKIE.

Można taki tytuł wypisać, bo stało się ono w Polsce już synonimem, bo dziecko lwowskie ofiarnie przelana krwią swoją serdeczną wzniosło sobie nie tylko u nas, ale wszędzie, gdzie miłość Ojczyzny jest najświętszym hasłem, pomnik niezapomniany i trwały.

Z podziwem i niedowierzaniem początkowo słuchał świat legendy o walkach dzieci lwowskich, które w jedną noc dojrzały i stały się bohaterami, broniącymi do upadłego stolicy i wierzącymi, że obronić się potrafią. Nie legenda to jednak była, lecz rzeczywistość, która przeszła wszelkie najplastyczniejsze opisy.

Stał się na skrawku Rzeczypospolitej fakt w świecie dotąd niebywały: bez niczyjego rozkazu, samorzutnie, z całym poczuciem obowiązku obywatelskiego, z wiarą w sprawiedliwość, z męską odwagą i szaleńczym rozmachem potomków rycerzy z pod Chocimia, Częstochowy, Zbaraża, Kamieńca, dzieci lwowskie, których przeżone oczy patrzyły na gwałty i znęcania się wroga na polskiej ludności ukochanego Lwowa, widząc iż brak

jest żołnierzy — chwyciły za broń i odrazu, od pierwszego dnia, stanawszy karnie w szeregach walczących, kilkunastoletnie, małe, głodne, źle ubrane, jak garstka Spartanów, rzuciły się w wir walki, z ciał swoich tworząc nieprzebyty wał.

Zdawało się, że to tylko zapalny, krótkotrwały ogień rozpalil im małe serca, że ulegną trudom, że nie dadzą rady, że złamie je nadludzki wysiłek,



PIOTRUS ZOLOTENKI, mając lat 15 uciekł z domu, ranny ciężko na Bema, zmarł w szpitalu po amputacji nogi.

Józefa Jung, Stefania Shejnyk. Trwały one bez przerwy w służbie linowej, od chwili, gdy w Szkole Sienkiewicza powstało ognisko oporu, aż do momentu gdy dzieło obrony zostało zakończone.

Oddział Monda z pod Cytadeli: wszyscy jego żołnierze pamiętają chyba Helę Bujwidównę. Ponieważ wyśmienicie strzelała, specjalnością jej stały się wyprawy na strychy domów, okalających Cytadelę. Ze strychów tych, wraz z towarzyszącym jej częstokroć Romkiem Hayderem, wyprawiała polowanie na nieprzyjaciół. Ci mogli ją bardzo łatwo odkryć w tej zasadzce, podczas gdy z obroną nikt jej nie mógł pośpieszyć.

Więcej było tych kobiet, noszących karabin z bagnietem i ginących w czasie niesienia pomocy rannym na ulicach Lwowa, lecz szare dni listopada, tak były wypełnione czynem, że na spisywanie bohaterских nazwisk nikt prawie nie miał czasu ni chęci, wspomnę więc jeszcze tylko Wandę Hermanównę, san. Marję Prokopowiczównę, Antoninę Mokłowską, które w największym ogniu opatrywały rannych, pierwsza na odcinku Szkoły Sienkiewicza, dwie następne w szkole atakowanej, zasypywanej ogniem min w Szkole Kadeckiej. Na patrolach sanitarnych chodzili również Gurska, B. Gurska, W. Isakiewiczówna, Rzepecka.

Żołnierz nie może żyć samem bohaterstwem, trzeba mu zapewnić żywność, trzeba mu na placówki przynieść wody, czy herbaty. We Lwowie i te czynności powodowały niebezpieczeństwo, albowiem strawę warzyło się pod armatnimi pociskami, zasypując gmachy, o których wiadano, że są punktami obserwacyjnymi dla polskich oddziałów, dowoziło się zaś

jedzenie wśród gwizdu kul karabinowych. I znów tylko kilka kilka nazwisk mogę podać tych kobiet które na III. odcinku Szkoły Konarskiego pełniły te obowiązki: Zofia Kamińska, (z Druż. Strzel.) która zorganizowała całą służbę pomocniczą odcinku III., Berdowska, ciężko ranna w głowę, Nowjówna, Paliwodzianka, Kocowska. Do Snopkowa dowoziła żywność ze Szkoły Sienkiewicza p. Emilja Jędrzejowiczowa.

Wiele ciężkiego trudu wzięły na swe barki te, które pełniły służbę wywiadowczą i kurjerską przekradały się między walczącymi liniami, przenosząc meldunki i rozkazy. Niejedna z nich zginęła na ulicy od kuli, niejednej groziło ciężkie, okrutne więzienie.

Szły jednak na tę służbę z własnej, nieprzymuszanej woli, częstokroć wbrew woli rodziny najbliższej, wbrew własnemu usposobieniu, spragnionemu spokoju i ciszy.

Szły — bo takim był obowiązek, taką narzucona przez los służba. Szły i nie pytały o nagrody, nie upominały się potem o krzyże i odznaczenia.

Za ową ochoczość w pełnieniu obowiązku, za karność i męstwo, za wytrwałość na każdym posterunku, za ten szereg mogił kobiecych jedno się przecie należy Lwowiankom — stwierdzenie że w chwili niebezpieczeństwa dobrze się zasłużyły miastu i państwu.

* * *

A oto garść nazwisk tych, które poległy dla Ojczyzny i pochowane są na Cmentarzu Obrońców Lwowa: Józefa Balzer (pseudonim) Biegonówna Antonina, Jabłońska Stanisława, Kossek Michałina, Olchowicz Katarzyna, Piwko Marja, Scharff Ostrowska Marja, Schukerna Marja, Szeremet Julja, Cholewa Zofja, Jastrzębska Marja,

Cwieczyńska Anna, Karpowowa Mieczysława, Korn Marja, Kozakowa Marja, Kozłowska Stefania, Nawratil Janina, Prus Janina, Reischer Marja, Stachówna Bronisława, Cwetowa Helena, Paradowska Marja, Swornik Emilja, Uruk Marja, Walter Marja, Rogoyska, Bordon Ann, Maryniakowa Aleksandra, Planetówna Katarzyna, Brutelówna Helena, Kornaszewska Ida, Dulebianka Marja. Osobny kopczyk kryje zwłoki Nieznanej Legionistki...

Cześć im i chwała!

Robotnik w obronie Lwowa.

W fali zapomnienia pogrzał czas wybitną, nieraz bohaterską, a zawsze pełną zaparcia pracę lwowskiego robotnika i jego wybitny udział w dziełach obrony Lwowa.

Walcząc we Lwowie strona polska nie dysponowała nawet takim materiałem uzbrojenia, jak ukraińska, której ustępujące władze austriackie oddając koszary, oddały i znaczną część zapasów broni. W następstwie od pierwszej załogi „Obrony“ poczynając, a kończąc nawet na „Naczelnym Dow. Wojsk Polskich“ gen. Rozwadowskiego, stale i ciągle panował w oddziałach polskich brak broni i środków technicznych. O dopływie jakimś z zachodu, o transportach z bogatszych może zbrojowni krakowskich, czy warszawskich, nie można było myśleć.

Miał jednak Lwów na temsamem przedmieściu gródeckim, gdzie pierwsza walka wybuchła, liczny zespół pracowników ślusarskich, zwolnionych ze służby w wojsku austriackim od

rękawie płaszczu i kazałem stanąć. Nadbiegli żołnierze ukraińscy, otaczając auto. Oświadczyłem im, że jestem parlamentarzem. Komendant patroli jednakże stanowczo powiedział, że auto musi mieć białą „fanę“.

Wówczas wysiadłem z auta i wpadłem do pierwszej bramy, natrafiłem na mieszkanie prof. Zaleskiego. Ten zacny człowiek na prośbę moją udzielił mi natychmiast nowiuteńkich ręczników. Podarliśmy je na opaski „pokoju“ dla żołnierzy i dla mnie, a z jednego zrobiliśmy wspólną „fanę“ umocowaną na przedzie auta.

Zaopatrzony w to godło, zmuszony byłem odgrywać dalej rolę parlamentarza. Zjechaliśmy do budynku pocztowego. Tutaj zatrzymał nas sotnyk ukraiński i znów musiałem wyłuszczyć cel mojej podróży. Sotnyk auto wraz z obsługą zatrzymał, a mnie i Bernackiego w licznej asyście przeprowadził do Komendy Ukraińskiej.

Przejęcie nasze wywoływało olbrzymią sensację. Publiczność zgromadzała się dokoła nas, dopytując się, kto jesteśmy. Moje mundur mój Dowborczyka (długi płaszcz i spodnie z czerwonymi lampasami) nieznany we Lwowie, robił wrażenie.

— Któżto jest ten młody generał? zapytywano.

Na co sierżant Bernacki z najmniejszą krwią odpowiadał:

— Jego Wysokość Książę Cyryl bułgarski!...

Przed Narodnym Domem zawiązano nam oczy i zapytano, czy nie mamy broni. Powiedziałem że nie, chociaż to nie było prawdą, ale wolałem mieć rewolwer przy sobie, gdyż przejścia podczas rewolucji w Rosji nauczyły mnie wiele. W Narodnym Domu ruch panował wielki, słyszałem jak po schodach żołnierze szli, zstępując ciężko. Robiło to wrażenie naprędcie zaimprovizowanego przedstawienia, celem

wywołania u przybyłych parlamentarzy wrażenia wielkości i potęgi bojowej.

Wprowadzono nas na salę, gdzie zdjęto nam opaski z oczu. Była to sala głównego Dowództwa Ukraińskiej Armji. Przy stołach pokrytych zielonym sukniem urzędowali oficerowie sztabu. Ubrani jak z igły, wypoczęci, syci, weseli. Niektórzy pochylili nad mapami robili jakieś wyliczenia. Od stołu wstał jeden z oficerów i przedstawiając się jako komendant główny, zapytał o cel naszego przybycia.

Trudno, trzeba było „improvizować“ dalej. Bąkałem więc jak z nut, że jestem parlamentarzem Naczelnego Dowództwa Wojsk Polskich, przysłanym tu z powodu niedotrzymania umowy o zawieszeniu broni (to było prawdą) gdyż oddziały ukraińskie, znajdujące się w obrębie dworca Czerniowieckiego nie dały możności naszym sanitariuszom pozbierania rannych i za-

pracy w warsztatach kolejowych. Fachowo materiał pierwszorzędny. W wartości swej wyrobionego pracownika dumny, hardy i wiele o sobie myślący. Pewniaki przeważnie, trudne w prowadzeniu, ale w ukochaniu swem ojczystego miasta i sprawy polskiej, nieustępujący mimo siwego nieraz włosa i najmłodszym z obrońców.

Gdzieś więc z placówek pierwszych

dni listopada, z pracowni unieruchomionych, ścignęli się oni na pierwsze zawołanie i zaraz dnia 4. listopada w dorywczo zorganizowanych warsztatach na dworcu kolejowym „naprawili dwie armaty“, potem znowu „adoptowali“ 200 pocisków artyleryjskich. Armaty wyciągnięto ze „szmelcu“. Pociski były „nieco“ w kalibrze za wielkie, trzeba więc było

dorobiono podstawy do 14 karabinów maszynowych; naprawiono 28 karabinów maszynowych i 320 karabinów ręcznych.

Praca zaś sama odbywała się w warunkach wprost fantastycznych, gromadzących trudności i przeszkody, jakby dla pokazu. W pierwszym rzędzie walki uliczne, trwające cały ten czas — angażowały w swój obręb i robotników warsztatowych. Nieraz więc zostawało ich przy pracy kilku tylko, reszta zaś stawała do walki na zagrożonych ulicach.

Artylerja ukraińska biła skoncentrowanym ogniem w warsztaty. Już 6. listopada przeniesiono je z Warsztatów Kolejowych do fabryki przy ul. Polnej, a gdy i tu trudno było wytrzymać, zdecentralizowano je przez podział na warsztaty rusznikarskie pomieszczone na dworcu czerniowieckim) i na warsztaty artyleryjskie przy ul. Janowskiej.

Walczyły warsztaty z brakiem środków, materiału i maszyn, ale walczyły też z niewyrobieniem i nieznamościami materiału tych miłych, ale z bronią słabo obeznanych ochotników pierwszej obrony. W następstwie karabin maszynowy naprawiony późnym wieczorem, gdyż z placówki ścignięto go dopiero o zmroku, nocą przeniesiony „na pozycję“, psuł się już o godzinie siódmej rano i nieraz musiał majster z warsztatów iść wprost na pozycję i tam dokonywać naprawy.

Lecz mimo to praca szła i warsztaty rozwijały się z dnia na dzień. Po częściowem wyparciu Ukraińców z ulic miasta, po pierwszych dniach radosnych 18. do 20. listopada, doczekały się warsztaty swej reorganizacji. Stałe ostrzeliwanie ich przez artylerję ukr., zmusiło Wydział art. ówczesnego „Nacz. Dow. W. P.“, do rozmieszczenia warsztatów w różnych punktach miasta tak, by w razie unie-



Auto pancerne z dni listopadowych zbudowane przez kolejarzy lwowskich.

je dokalibrować. Czynność tę wykonywało się, obtaczając uzbrojone pociski na tokarkach z narażeniem, że jeżeli nie pierwszy, to stopierwszy lub następny z tych 200 pocisków może w ręku eksplodować.

I zaczęła się od tego dnia praca w lwowskich warsztatach broni. Inż. Kubiński (dawny kierownik warsztatów sygnałowych na dworcu, potem docent politechniki, obecnie współpracownik „Azotu“ pod Tarnowem), wermistrz Tatar Stanisław, Józef Drezowski, Stan. Dydiuk, Adam Katlewicz, Marjan Tarnawski, Jan Nemec, Michał Loreth,

ś. p. Stanisław Glaser (zabity granatem ukr.), Antoni Foksa, Kazimierz Hołubeczko — to pierwsza obsada tych warsztatów, rosnąca później w miarę potrzeb z dnia na dzień tak wybitnie, że w pierwszych miesiącach 1919 r. miały same tylko warsztaty rusznikarskie, przy placu Bema (dzisiejsza Fabryka Ski. Akc. „Arma“) 180 robotników.

Już w pierwszym okresie walk, naprawiono w warsztatach 15 dział w tem w czteru wypadkach przetoczono z powodu braku odpowiedniej amunicji komorę ładowniczą (!) lufy;

bitych, otwierając ogień do naszych patroli sanitarnych. Dodałem, że wszystkie nasze oddziały powiadomione zostały o zawieszeniu broni, a Ukraińska Komenda tego nie uczyniła i poprosiłem o wyjaśnienie.

Ukraiński Dowódca zapytał mnie o papiery uwierzytelniające.

Ponieważ ich nie posiadałem, oświadczyłem, że przeciw w myśl przepisów międzynarodowych o parlamentarzach, papiery takie są zbyteczne, wystarczy przybycie parlamentarza z białą chorągwią.

Cała rozmowa toczyła się w języku polskim. Dowódca zaprosił nas do stołu, kazał przynieść dobrego wina i papierosów a adiutantowi polecił napisać umowę, którą nie mając prawa, podpisałem. Że mi uwierzyli, było to tylko winą ich wielkiej nieznajomości prawa i sztuki wojennej, dzięki czemu dawali się brać na kawały...

Patrzyłem na ich dostatnio i re-

prezentacyjnie urządzoną Naczelną Komendę, na spokojnych, dobrze ubranych i wyspanych oficerów, pracujących w ciszy i w cieple. Serce mi się ścisnęło na myśl o naszej biednej Komendzie, mieszczącej się kątem przy ul. Grunwaldzkiej, o naszych oficerach i żołnierzach, niezaopatrzonych, obdartych i głodnych, o brakach wszystkich... Porównałem...

Szkłanka z winem, niesiona do ust, ociągała mi w rękę. Czy ten nadludzki wysiłek bohaterskiego miasta może zwyciężyć w tak nierównej walce?

Wręczono mi papiery. Pożegnaliśmy się z komendantem ukraińskim i oficer łącznikowy otrzymał rozkaz konwojowania nas do naszego samochodu. Przed budynkiem poczty zastaliśmy nasz samochód nienaruszony. Usiedliśmy i pojechaliśmy wprost na ul. Grunwaldzką do Dowódcy W. P. kpt. Mączyńskiego, aby zameldować o tem co zaszło. Komendant wysłuchał ra-

portu i oświadczył że dobrze się stało iż uratowałem auto i karabin maszynowy. Jednocześnie przyszło kilku dowódców odcinków. Gdy patrzyłem teraz na tych naszych oficerów, zczerniałych i wychudłych od wyczerpania i trudów najcięższych ale o oczach, płonących ogniem najwyższego entuzjazmu, jasnym mi się stało, że zwycięża nie dostatek i siła fizyczna, ale wola, prowadząca do Czynu, siła psychiczna. Ona to kazała żołnierzom i „mikrusom“ lwowskim podwajać ich energję, walczyć jak lwy, znosić z humorem głód, zimno i rany. Z niej oficerowie i dowódcy czerpali swą pomysłowość i zapał. I dlatego po pobycie w Komendzie Ukraińskiej, gdzie panował dostatek, ale gdzie się widziało apatycznego żołnierza i nieinteligentnego oficera, gdy wróciłem jako „improwowany parlamentar“ do swoich, pewny byłem zwycięstwa!

ruchomienia jednego z nich, lub zajęcia części miasta przez nieprzyjaciela, pozostały w innych zdolne do pracy jednostki organizacyjne. Były więc już z końcem listopada „Warsztaty Zbrojowni W. P.” przy ul. Podwale, „Warsztaty rusznikarskie Nr. I.” na dworcu czerniowieckim, „Warsztaty rusznikarskie Nr. II.” przy ul. Janowski, „Warsztaty precyzyjne Nr. III.” przy ul. Pod Kopcem, „Warsztaty artylerji” przy ul. Janowskiej i pracująca wraz z nimi „Sekcja P.” (pyrotechniczna) i „Grupa chemiczna”. Całość obejmowała już wtedy 11 oficerów i inżynierów, 192 pracowników kwalifikowanych, 20 kobiet i 12 chłop-

ców, a przecież ożywione walki na froncie podmiejskim dają ciągle niezmiennie dużo terminowej, natychmiastowej pracy, tak, że i sił brakło nieraz, stale zaś brakowało materiału technicznego.

Mimo to pierwiastek twórczy, tkwiący w ówczesnej atmosferze Lwowa powoduje, że te dorywcze, ochotnicze warsztaty zaczynają przerabiać się w świadome celu fabryki naprawy, a nawet i produkcji broni i amunicji, wbrew nieprzychylnym warunkom zewnętrznym, fabryki imponujące swą produktywnością i zapalem pracy.

Wużet.

LUDWIK DE LAVEAUX.

P. O. W. a akcja listopadowa.

Polska Organizacja Wojskowa (P. O. W.) była dalszym i nieprzerwanym ciągiem tej wielkiej pracy, która rozpoczęła się w Zw. W. C., organizacjach strzeleckich i Legionach. Nic się tu właściwie nie zmieniło, przyświecał ten sam cel, pracowali w organizacji tej ci sami ludzie, którzy w okopach walczyli przeciwko wojskom moskiewskim — zmieniła się tylko w stosunku do Legionów metoda pracy. Wielka polityczna mądrość Józefa Piłsudskiego i jego nadludzkie męstwo w dążeniu ku ostatecznemu celowi wszystkich wysiłków — w Polsce Niepodległej — kazała drużynie legionowej raz jeszcze cofnąć się w podziemia walki konspiracyjnej. Gdy Legjony spełniły swe zadanie pierwszych od dziesiętków lat polskich formacji woj-

skowych na polskiej ziemi i tem postanowienie swe wyczerpały, przełom „przysięgowy” był tej przemiany widomym wyrazem. Nowe warunki stworzyły nowe formy walki. Z woli Józefa Piłsudskiego powstała P. O. W., organizacja, rzecby można, powstańcza, która objęła wszystkie ziemie polskie, należące kiedykolwiek do dawnej Rzeczypospolitej Polskiej, a mająca swe placówki nawet poza granicami tych ziem, w Moskwie i Petersburgu, w Paryżu i t. d. Nie licząc się z żadnymi frontami, granicami kordonami, pokryła ona siecią swych oddziałów cały teren Polski i wszystkie większe środowiska polskie, gotowa każdej chwili wyjść z podziemi, gdy padnie hasło.

Na terenie Wschodniej Małopolski stworzono Okręg P. O. W. z siedzibą

narodów i przeżyć niejako siebie wcielając się w wybranych i planowo wspomaganą sukcesorów. Komenda Lwowska P. O. W. zdawała sobie dokładnie sprawę z tych przewrotnych planów, wymierzonych w całą rozciągłość przeciwko Polsce, a posiadając organizację karną i mocną, dobrze przygotowaną do działania i dobrze poinformowaną o knowaniach rządów austriackich odrazu wyjęła całą swą czujność w tym kierunku, skąd miał paść cios przygotowany rękami spadkobierców Metternicha. Gdy więc zbliżyły się krytyczne dni jesienne, Kmda P. O. W. ogłosiła mobilizację swych oddziałów, ujawniła swą organizację i podjęła inicjatywę w celu zjednoczenia wszystkich zgrupowań o charakterze wojskowym, istniejących na terenie Lwowa i Wschodniej Małopolski (P. K. P. i P. K. W.).

Inicjatywa ta, niestety, nie spotkała się z takim zrozumieniem, na jakie zasługiwała. Drogocenny czas mijał na bezkuteknych debatach, a nawet na konferencji w przeddzień wypadków listopadowych wysunięto nową trudność: kwestję organizacji dowództwa, przyczem powstał absurdalny z punktu widzenia wojskowego wniosek stworzenia trójosobowego dowódcy. Dopiero Kmdt P. O. W. oświadczył, iż mimo, że rozporządza najsilniejszą i najsprawniejszą a liczebnie największą organizacją, gotów jest poddać się każdemu dowódcy, każdej jednostce, wyrażając się nawet że może nim być zwykły kapral. W rezultacie nawet i to oświadczenie nie doprowadziło do mianowania dcy.

Nieszczęście połączyło wszystkich. Z jednocześnie dokonano się w chwili, gdy inicjatywa została odebrana polskiej stronie i znikła możliwość uprzedzenia wypadków, o których planowaniu Komendantowi P. O. W. było wiadomem.

Dziś z odległości lat 10-ciu z dumą patrzeć może P. O. W. na te ciężkie dni jesienne 1918 roku. Nie chodzi już o czyn zbrojny, gdyż na bruku lwowskim lała się krew zarówno peowiaków, członków innych organizacji, jak i tych wszystkich do dzieci włącznie, którzy dla obrony polskości Lwowa za broń chwycili. Dumą jednak musi przejmować każdego członka P. O. W. ta świadomość, że kiedy inni oglądali się na swych mocodawców partyjnych i niepartyjnych P. O. W. nie oglądała się na nic, a liczyła się tylko z dobrem Sprawy Polskiej, której widomym namiestnikiem był Twórca Nowej Polski Józef Piłsudski. Bo Jego to duch wówczas więźnia magdeburskiego kazał P. O. W. stać tu na straży dobra polskiego, Jego duch kazał podporządkować wszystkie interesy cząstkowe wielkiej sprawie ogółu, Jego duch wyniósł zbrojne szeregi Orląt na ulice Lwowa.



Widok Dyrekcji, Policji po zdobyciu przez por. Świsłickiego Edw. i chor. Wydrzyskiego Edw. (w owalu por. Świsłicki).

we Lwowie, zakładano organizacje okręgowe i powiatowe, sformowano wreszcie oddziały bojowe. Działalność P. O. W. stała się szczególnie intensywną po kryzysie legjonowym. Zdawano bowiem sobie sprawę, że za-

dania spadające na P. O. W. we Wschodniej Małopolsce są znacznie trudniejsze, niż na wielu innych terenach, gdyż rozkładająca się Austria zmierzała chytrze do tego, by jeszcze umierającą ręką rozniecić tu waśń dwu

ADAM SCHWETZ.

Ze zdarzeń dnia 2. listopada 1918 roku.

Dnia 2. listopada 1918 zrana o godzinie 7 z polecenia komendanta Domu techników por. Wasilewskiego, udaliśmy się do koszar przy ulicy Kadeckiej zajętych przez Madjarów, aby dla zdobycia chociaż trochę broni, której był brak zupełny, zabrać broń od Węgrów, którzy jako neutralni w koszarach tych siedzieli. Było nas kilku z Organizacji akademickiej, między nami dwaj starzy legioniści. Niedaleko koszar nadbiega wachmistrz ukraiński z drugim żołnierzem z rewolwerami, aby nam przeszkodzić, lecz ujrawszy wśród nas dwóch z karabinami, wskoczyli obaj do bramy najbliższego do-

mu, gdzie też zaraz w sieni na schodach ugodzeni poupadali. Udajemy się więc już bez przeszkód do Węgrów i żądamy broni. Wachmistrz nie chce wydać, tłumacząc, że są neutralni i odsyła nas do oficera. Wobec tego zabieramy broń przemocą i wynosimy. Kolega legun Ziembicki znalazł w pobliżu wóz i konie, ładujemy i jazda do domu techników. Rozdzieliwszy broń między kilkunastu kolegów, ruszyliśmy zaraz z por. Wasilewskim na Wulkę do wielkich koszar kawaleryjskich, aby tam rozbroić ukraińskich żołnierzy, których było z trzy kompanie i zabrać im również broń,



DACH SEJMU.

amunicję i odzież z magazynów, podobno bogato zaopatrzonych. Tyraljera przed koszarami, gęste ostrzeliwanie, a potem hura! i do koszar. Po dwu w drzwiach u każdego wejścia a po dwu do koszar wpada z wielkim krzykiem, karabinami wywijając w powietrzu, jak gdyby szła conajmniej cała kompania. Ruki do hory! — trochę strzelaniny i jakby cudem w mig dokonane zadanie. Pędzimy 300 ukraińców jak barany na podwórze, gdzie musieli nam broń, amunicję i odzież ładować na wozy. Uzbierało się tego sporo: 4 wozy karabinów, 3 wozy amunicji i kilka wozów mundurów.

Wszystko to odstawili Ukraińcy sami do domu techników pod naszą eskortą. Dajcie meni soroczku bo ne maju! mówi jeden, dajcie czoboty! prosi drugi — ja idu do żinki. do dity — ne budem sia byty z wamy! i odeszli obdarzeni, bo nie było gdzie pomieścić jeńców.

Zagarnawszy tyle zdobyczy, spieszymy na kolej, gdzie ukraińcy zawładnąwszy dworcem obstawili zarówno sam gmach jak i dojazd kulomiotami. Nie mogąc dostać się drogą dojazdową, przelaziliśmy od ulicy Polnej przez mury i parkany w podwórzach i ogrodach, aż znaleźliśmy się naprzeciw dojazdu, skąd z poza drzew i kamienic tak długo ostrzeliwaliśmy auto obsadzone przed dworcem, póki nie wybiliśmy całej jego załogi. Wtedy sierżant Michaliszyn, żołnierz niepo-

spolitej odwagi, który ciągle zagrzewał wszystkich do walki, wskoczył do auta i skierował je w ulicę Dojazdową. My za nim. Pokładliśmy się na płatformę, bo z dworca i od ulicy Gródeckiej straszny grad pocisków na nas się sypał. Rozgorzała wielka walka. Z okien domów i z okien hotelu Podolskiego także nas silnie ostrzeliwano. Ktoś z naszych zawołał: dajcie chociaż jeden granat ręczny, abym go tam rzucił! Wtedy mały 8-letni chłopak w czapie kolejowej, skoczył za parkan i w mig przynosi trzy granaty i steyera, dwa granaty oddał, a gdy chciano mu wziąć steyera, sądząc że nie potrafi nim władać — nie dał go skut oburzony i popędził pod hotel Podolski, strzelił w okna kilka razy i to celnie, a nadto rzucił tam tak sprawnie granat, że ten w samą porę eksplodował, bo słyszeliśmy huk — i całkiem zniszczył atakowany lokal. Tu nawiasem dodam, że dzieci i kobiety znosiły i podawały nam naboje karabinowe w takiej ilości, że nie można ich było nawet zużytkować.

Nie obeszło się jednak i bez strat: sierżant Michaliszyn, który ochryptym już głosem wciąż do walki nawoływał, zagrząższy z autem w boczną ulicę, ugodzony kilkoma kulami w bok i pierś, zachwiał się i runął. Rannego odniesiono na drzwiach, wyrwanych z pewnego domu, do szpitala. Ratunek był niemożliwy. Bohaterski żołnierz zmarł niebawem.

BRZESZCZOT JÓZEF.

Bitwa kulparkowska.

W dniach 13. i 14. listopada 1918 roku rozegrała się na polach kulparkowskich jedna z największych walk podczas Obrony Lwowa, od której wyników ważyły się naówczas losy Lwowa.

Zwycięska walka o Kulparków udaremniła projektowany atak generalny ukraińców w dniu 14. listopada 1918 roku, odbierając im podstawę operacyjną, zadała im ciężkie straty i przyniosła nam okazałe łupy, a w końcu walka ta uprzedziła ich w ataku, rozbijając te siły wroga, które użyte w dniu następnym, zadałyby bezwarunkowo cios, pod którym nasze słabe siły uległyby musiały, a temsamem przepuściłyby wroga na tyły całej naszej operującej armii lwowskiej.

Atak zwycięski II. Grupy Wojsk Polskich w „Szkole Sienkiewicza“, pod wodzą kpt. BORUTY - SPIECHOWICZA, pokrzyżował skombinowane plany ukraińcom i, mimo że atakowali oni nazajutrz na innych frontach, osłabieni jednak dotkliwą utratą podstawy i tak ważnej dla siebie placówki, zostali odparci bez trudu.

Walka o Kulparków dnia 13-go listopada 1918 roku. Wiadomości o nieprzyjacielu.

Nieprzyjaciel w sile około 500 dobrze uzbrojonych zorganizowanych siłowników (legionistów ukr.) z 1 baterią połówek, 3 karabinami maszynowymi, 2 minerkami 22 cm. oraz granatami ręcznymi, zajął w dniu 13. listopada 1918, o godz. 5. Kulparków i ostrzeliwuje nasze pozycje, tor kolejowy, oraz ulice wiodące wgłąb miasta. Pozycje karabinów maszynowych na dachach domów. Na południe od Kulparkowa okopuje swoją artylerię.

Przypuszczalny zamiar nieprzyjaciela.

Z zajętej pozycji utworzyć podstawę do generalnej akcji na całym froncie przypuścić silny i bezwzględny atak dnia 14. listopada 1918 r., zając „Szkolę Sienkiewicza“ i „Dworzec Główny“ i uderzyć od tyłu na nasze pozycje przychodząc z pomocą atakującym w wschodniej części miasta.

Nasze siły.

1 komp. t. zw. „Kulparków“, por. Bergmana w sile około 100 ludzi i 1 karabin maszynowy zajęła, po wycofaniu swoich placówek z Kulparkowa, pozycję obronną na północ od Kulparkowa, wzdłuż toru kolejowego Lwów-Persenkówka, zajmując odcinek od Kulparkowa II. (Drogi na Sokolniki) wyłącznie, do drogi Lwów-Sygniówka wyłącznie (przeszło 3 klm.); 1 pluton pod dow. ppor. Wolaka na północny zachód od drogi Lwów-Sygniówka wyłącznie, zajmuje fabrykę Merkurego w sile 40 ludzi

Dyspozycje wydane przez kpt. Borutę-Spiechowicza.

I. Ogólne: Nieprzyjacieli zostanie zaatakowany o godz. 4:30 popoł. kontratakiem z półn. przez komp. por. Bergmanna, z południa otoczony atakiem przez ppor. Wolaka, zaś reszta odrzucona w kierunku na Persenkówkę.

II. Poszczególne: Nieprzyjacieli zostanie odrzucony bez strzału — bagnetem. Por. Bergmann zmniejszy stan ludzi, znajdujących się w pierwszej linii — o 40 i odeśle do dyspozycji ppor. Wolaka, sam zajmie ze swoimi (resztą) pozycję w ten sposób, by za wszelką cenę nie dopuścić nieprzyjaciela do przejścia linii obronnej („o cofaniu niema mowy, raczej na miejscu zginąć“). Braki wyrównać tak, że każdy tyraljer strzela z kilku miejsc, to samo robi karabin maszynowy. Strzałami, jako i małymi patrolami zwrócić na siebie nieprzyjaciela. Ubezpieczyć skrzydła w sile 1 sekcją na skrzydło. Strzelać można do godziny 3:30 popoł. O godz. 4:30 popoł. kontratak. Ubezpieczenia zaatakują ze skrzydeł o godz. 4:15 popoł. Centrum zmniejszy rozciągłość swej linii o dwie trzecie i uderzy, o godz. 4:30 popoł., z całym rozmachem ze słowami:

„Lwów nasz!“

Bagnetem rozstrzygnie się o zwycięstwo!

Ppor. Wolak zaatakuję nieprzyjaciela w południe i wschodzie, o godz. 4:30 popoł. W tym celu pozostawi 10 ludzi w fabryce Merkurego, resztę dołączy do otrzymanych 40 od por. Bergmanna, rozdzieli w stosunku 2:1, poczem nad większą częścią obejmie dowództwo i ruszy zaraz popołudniu, (między 1. a 2. g.), przez Sygniówkę, północną część Skniłówkę na drogę do Sokolnik, od której to zaatakuję Kulparków od południa o godzinie 4:30. O godzinie 4-tej salwami i szybkim ogniem ludzi, idących ze wschodu na zachód (mniejsza część) zaatakuję lewe skrzydło nieprzyjaciela ogniem salwowym, poczem obydwie grupy (lewa i prawa) zaatakują bagnetem o godz. 4:30 popoł.

Działać zdecydowanie — z impetem: Zwycięstwo musi być przy nas! „Szkoła Sienkiewicza“ zmobilizowana cała, b. z. wyjątku, oczekuje rozkazów, w ostrem pogotowiu.

Punkt opatrunkowy pozostaje jak poprzednio.

Atakiem kieruje osobiście kpt. Boruta-Spiechowicz, czujny, niezmordowany, obecny wszędzie zimny i nieczuły na grad kul wrażeń — wydaje rozkazy, zagrzewa i dodaje odwagi walczącym. Takimi też byli oficerowie, atak przeprowadzający. Nieprzyjacieli, zaatakowany równocześnie ze wszystkich stron — traci głowę. Liczba naszych, zda się, spotężniała, choć zewnątrz wałę, a gdzie stąpią, śmierć żniwo zbiera. Od południa ppor. Wolak

ze swymi uderza niespodzianie na pozycję karabinów maszynowych. Pewnych zwycięstwa ukraińców w chałupach zastawszy, rozgania bagnetem i popłoch rozsiewa. Przerazenie ogarnia owe „sotnie“. Jedna droga dla nich, na Persenkówkę, bo oto z frontu wali — z całym rozmachem — por. Bergmann wraz z ppor. Petrym i ppor. Asłanowiczem. Lecz i ta droga wnet się zamyka ogniem morderczym lewego ubezpieczenia. To już nie popłoch, to szal straszny, aby życie ratować. Bez karabinów już uciekają i giną, w ślad za uciekającymi nasi pędzą i gonią aż poza Persenkówkę. Gdzieś już z tamtych okolic ppor. Lang armatę, zdobytą rzekomo przez swych ludzi, przytacza na Kulparków, bo wystrzelano konie uciekającej artylerji. Trzydziestu kilku jeńców z oficerem, dwa karabiny maszynowe, dwie minierki 22 cm. i działo, oraz wielka ilość karabinów i amunicji stały się naszym łupem. Mnóstwo rannych i zabitych ukraińców pokryło pole walki, myśmy mieli sześciu rannych a 4 zabitych. Wszyscy, od dowódców do żołnierzy, między którymi sporo było mówiąc językiem wojskowym, rekrutów, studencików, wywiązał się z włożonego na nich obowiązku — wysmienicie, z podziwu, godnem męstwem i bohaterstwem, nawet patrol sanitarny, pod gradem kul, rannych przenosi a amunicję walczącym podawał. W czasie tej walki polegli: śp. Paluch Władysław, śp. Świszcz Kryspin i dwóch nieznanymi bohaterów, ranni: Strowski, Andrusiak Ludwik, Zwoliński Franciszek, Świerzowski Emil, Bodnar Jan i Seńkowska Zofja.



CYTADELA.

W czasie walki odznaczyli się także m. i. Dr. Zajączkowski, sanit. Matuszkiewicz, sanit. Gurska Zofja i sanit. Dulębianka Ludmiła.

Dziś już nie żyje jeden z głównych uczestników tej walki, śp. ppor. Wo-

lak, który padł śmiercią walecznych, w jednej z zażartych walk w okolicy Lwowa, już po jego oswobodzeniu, broniąc stale w polu i w walce ukochane miasto przed okrutną nawałą hajdamacką.

EDWARD KOZŁOWSKI.

Zdobycie Cmentarza Łyczakowskiego.

Tradycyjny numer „Pobudki“ uczcić się godzi przypomnieniem zbiorowego wysiłku decyzji dowództwa, woli oficerów, ofiarność i poświęcenia szeregowych. Na tej krótkiej taśmie wspomnień przesunie się przed obiektywem czytelnika zwolniony obraz zdobycia ukraińskiego kłuzca obrony Lwowa — cmentarza Łyczakowskiego w dniu 22. listopada 1918.

* * *

Wieczór dnia 20. listopada w Szkole Sienkiewicza przypominał swą ruchliwością i gwarem pierwsze dni obrony. Stara wiara czyściła karabiny, brała amunicję, „fasowała“ co się tylko dało. Zaś „bisz-



JUREK BITSCHAN
poległ dnia 21. listopada 1918.

kopty“, „Orlątką“, „mikrusy“, czem było to mniejsze, tem więcej krzyczało. Pełno tego było, w całym gmachu od poddasza do piwnic. Przyszedł do mnie, do Oddziału Karabinów Maszynowych taki brzdąc. Robi srogą postawę na baczność, nosem kręci, bo mu czapka na brodę leciała i donośnie mówi.

— Panie Choraży proszę posłusznie o cały „verschlag“ amunicji (było w nim 250 naboju w gurgie). — Do którego plutonu pytam?

— A to dla mnie.

* * *

Oddział karabinów maszynowych rozbrzmiewa radością spokojną, fachową. Większość obsługi to starzy maszyniści od „Schwarzlose'go” i „Maksim'a”, którzy przeszli już wszystkie rodzaje ognia. Młodszy gurtują amunicję, celowniczy własnoręcznie czyszczą zamki, dolewają oliwy i wody.

O godzinie 10-tej wieczorem maszyny są gotowe do wymarszu.

Tymczasem w pobliżu Szkoły Sienkiewicza zbiera się grupa uderzeniowa pod dowództwem kpt. Boruty-Spiechowicza. Należą do niej, dusza i jądro szkoły Sienkiewicza: kompania zwana Kulparkowską z por. Bergmanem, podpor. Petrym Stanisławem, podpor. Aslanowiczem Ludwikiem i chor. Plutckim, razem 85 ludzi, Oddział Karabinów Maszynowych z por. ś. p.



Dowódca karabinów maszynowych KOZŁOWSKI EDWARD ze swoim oddziałem.

odlepia się jakaś postać i drżącym głosem pyta:

— Przepraszam, panowie gdzie? (Była to M. S. O.)

— Kusz dziadu, huczy maszyna.

— Zamknij kłapaczki, kończy dyskusję celowniczy Nizior.

Idziemy w ciszy paląc papierosy w rękawach przez Wulecką, koło Parku Kilińskiego i Elektrowni. Tu zaczyna się marsz bojowy. Przemykamy się między placówkami ukraińskimi na Zofijówce i stajemy koło rogatki Zielonej. Oddziały atakujące rozwijają się do natarcia. Na lewo kompania Kaszy, batalion „Zuchowatych”, z kawalerją ma dyрекcję na Sichów, reszta na Pasieki i Pohulanek.

O godzinie 6-tej rano przeryna powietrze pierwszy pocisk artyleryjski. To Filipowicz z „Krakusa” daje hasło natarcia. I już grzmi ogień karabinów maszynowych i ręcznych. Dostajemy się w dwa ognie. Z lewej, góra Jacka umocniona okopami i rowami bije batalionem strzelców ukraińskich i 28 karabinów maszynowych. Z frontu dostajemy ogień z cmentarza Łyczakowskiego.

Zborzil-Mireckim i chor. Edwardem Kozłowskim, dalej Legja Oficerska, l. Baon 5. p. p. Leg. „Zuchowatych”, kompania jarosławska, druha z 4. p. leg. por. Kaszy, kawalerja Kniaziołuckiego i jedna baterja połówek Knoll-Kownackiego.

O północy odprawa dowódców oddziałów u kpt. Boruty. Słowa obciążone wolą zwycięstwa padają na rozłożone mapy okolic Lwowa i kreślą łamaną linię marszu, natarcia i pościgu.

Wśród nocy ciemnej mglistej i zimnej o godzinie 2-giej dnia 21. listopada grupa odchodzi na wyznaczony punkt natarcia. W szkole zostaje odwód i kadra zarazem, 30 ludzi z chor. Petrym Stefanem. Odwód? — Kilku lżej rannych, reszta bosych i dzieci. Taka to kadra. Na ul. Isakowicza, z płaszczyzny parkanu

Pod celnym ogniem K. M. Ukraińcy milkną. Oba plutony są już na cmentarzu, walcząc z żarliwością o przewagę ognia. Linię ataku przedłuża i wzmacnia 3 pluton z maszynką.

Atak staje się coraz szybszy, jeszcze kilka skoków i już jesteśmy na odległości rzutu granatem ręcznym. Wiara z dawnych batalionów szturmowych jest w swoim żywiole. Lecą krótkim łukiem wielki wrzask czyniąc, granaty trzonkowe i groźne, zębami siejące jajowe i do kukurudzy podobne. Ledwie opadły odłamki rozgorzała walka wręcz, kolbą i bagnetem. Mimo wielokrotnej przewagi liczbowej i ogniowej ukraińcy poczęli się cofać a później uciekać. Przeskakując groby i haszcie kompania siedzi już na karkach ukraińskich. Bierze jeńców po drodze i wpada główną aleją do wielkiej bramy cmentarnej. Na prawem skrzydle gra jeszcze maszyna, ścigając snopem pocisków uciekających Ukraińców.

Jest godz. 8-ma rano. Cmentarz całkowicie nasz.

Pod bramą dostajemy się w ogień flankowy, z lewej z góry Jacka i z koszar Piotra i Pawła, obsadzonych przez 300 strzelców ukraińskich. Ogień mordczy, zbliżka, zpoza osłony grubych murów, odcina nieprzebytą zaporą cmentarz od miasta.

Kompania nie tracąc rozędu gotuje się do natarcia. Małe „Orlątko”, student, ulubieniec wszystkich ś. p. Jurek Bitschan z krzykiem: „Za mną”, przez bramę wybiega na ulicę i pada trafiony trzema ekrazytówkami w udo. Chorąży Plutcki chce go wyciągnąć, dostaje w rękę. Po nim biegnie do Bitschana b. praporszczyk Sliwiński i pada trafiony w czoło. Mimo to spieszy jeszcze sanitariusz i ten dostaje postrzał. Ogień ukraiński potężnieje, łupie na grobowcach marmur, rozbija krzyże, ucina całe gałęzie świerków. Jurek Bitschan leży przed bramą, krew z niego uchodzi. Wreszcie po ciężkim trudzie wyciągają go przy pomocy gałęzi podpr. Petry i Aslanowicz. Wiążą, sciskają nogę obręczą sznurów i pasów wszystko za późno, daremnie. „Orlątko” już nie żyje.

* * *

Wiadomość o zdobyciu Cmentarza Łyczakowskiego przyjęła komenda ukraińska z przerażeniem. Wszak pozycja ta była kluczem obrony. Natychmiast ściągnięto z miasta wszelkie możliwe oddziały i pchnięto do kontrataku.

O godzinie 10-tej wdarły się dwa bataliony ukraińskich strzelców na pozycje utracone przed dwoma godzinami. Naszej piechocie brakuje amunicji. Na szczęście dołączył do nas drugi karabin maszynowy przysłany z browaru Grunda przez ś. p. por. Mireckiego. Rozgorzała walka

zacięta, wściekła o każde pole cmentarne, o każdą kapliczkę, o każdy grobowiec. Przewidując ciężką przeprawę wziętem po 10 gurtów na K. M. To też maszynki miały żniwa jakich jeszcze nie przeszły. Krok za krokiem kompanja wypiera wroga z cmentarza. Z zapadnięciem mroku kontratak był odparty na całej linii a cmentarz ponownie nasz. Wówczas, po tej klęsce „Rada Wojenna“ postanawia opuścić Lwów pod osłoną nocy¹⁾.

Zuchowaci²⁾, Legja oficerska i kawalerja również spełniły swe zadania, zajmując wyznaczone stanowiska a co najważniejsze, wstrzymują pospiesnym marszem zdążające posiłki ze Złoczowa.

O godz. 6-tej pop. nawiązujemy łączność na prawo. To 15 „Zuchowatych“ obsadziło stację Lwów-Łyczaków. Jest już całkiem ciemno. Szumią jeno drzewa, trzaskają gałęzie pod stopami placówek i wedet. Reszta kompanji i maszynki zebrała się koło prowadzącej do dzisiejszego Cmentarza Obrońców Lwowa drogi. Niebo różowi się łuną pożarów, na prawo padają jeszcze strzały. Całodzienny bój wyzerpał żołnierza, w przeważnej części młodego, do cna. Ledwo siadł, już zasypiał. W dodatku był głodny, bo kuchnie po wertepach nie mogły przejechać. Dopiero patrol z telefonistą Rollauerem zabrała u jakiegoś piekara przy ul. Cetnerowskiej trochę chleba wypieczonego dla Ukraińców. Ciepły był jeszcze i podły. O godz. 8-mej wieczorem pierwszy bataljon 5 pp. leg. nawiązuje z nami łączność.

¹⁾ Witold Demiańczuk „Boje o Lwów w świetle ukraińskim“.

STANISŁAW CZASZKA.

Pepetrójka.

W dniu 7. listopada 1918. r. wziął mjr. Kudelski myśl budowy

Noc przeszła spokojnie. Zmarzliśmy tylko i głodniśmy byli.

Zawitał nareszcie pamiętny dla Lwowa dzień 22. listopada. Meldunki i patrole doniosły o spiesznym odwołaniu nieprzyjaciela. Oddział nasz wyruszył przez cmentarz do miasta. Po drodze wzięła kompanja jeńca w koszarach Piotra i Pawła, na ul. Kochanowskiego uwolniliśmy internowanych oficerów austriackich.

* * *

Idzie kompanja środkiem ulicy, aż się dusza raduje.

— Równaj krok, Ty Hryciu! upomina celowniczy jeńców, niosących nasze karabiny maszynowe.

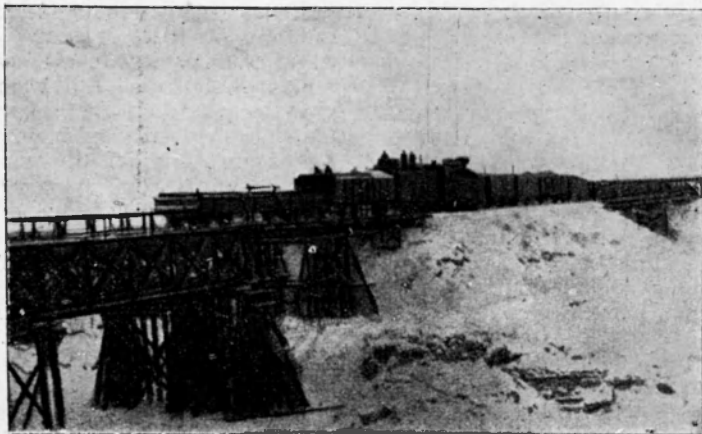
Bije z nas zachwyt i radość dokonanego czynu, ze zwycięstwa i tryumfu. W mózgu tylko jedna myśl uparcie wiruje — Lwów nasz z powrotem i na zawsze nasz.

— Równaj krok — pada komenda, bo się już linie czwórek wygięły pod naporem entuzjastycznych uścisków i powitań, oswobodzonych mieszkańców Lwowa. Po płaszczu i rzemieniach wspina się na mą szyję, jakaś panienka (ładna była) i całuje, daje papierosy i całuje.

— Równaj krok. Ze śpiewem na ustach wchodzimy tryumfalnie do miasta.

* * *

Dziś, po latach dziesięciu z czystym sumieniem powiedzieć można, że ten właśnie bohater, zwycięski bój młodego, głodnego i nieumundurowanego żołnierza narzucił dowództwu ukraińskiemu rozkaz odwrotu.



PEPETRÓJKA.

nował mu objęcie komendy nad tym pociągiem. Natychmiast więc obaj

pociągu pancernego. Spotkawszy na ulicy por Orzechowskiego, zaproponował mu objęcie komendy nad tym pociągiem. Natychmiast więc obaj

z por. Dawidowiczem, którego dla tej myśli pozyskali, udali się na dwo-

rzec główny, by wyszukać odpowiedniego wozy do adaptacji. Następnego dnia rano wzięto się do roboty, jednakże strzały armatnie nieprzyjaciela, który przez szpiegów był zaraz powiadomiony, gdzie nad czym pracowano, rozpedziły robotników z warsztatów głównych. Wobec tego postanowił por. Orzechowski przenieść się z budową do małych warsztatów w ogrzewalni, mniej narażonych na działanie ognia nieprzyjacielskiego. Zadanie to nie było tak łatwe, gdyż trzeba było przewieźć przeszło 20 ton półtonowych stalowych płyt. Zebrano skąd się tylko dało 20 robotników i kolejarzy, udało się załadować na wagony materiał i przewieźć go do ogrzewalni. W niedzielę, dnia 10. listopada zaczęto budowę maszyny i dwóch wagonów pancernych, przy pomocy przeszło stu robotników którzy pracowali w dwóch szychach dzień i noc. Brakło jednakże zupełnie inżynierów. Robotami kierował wermistrz Trepka, według wskazówek laika por. Orzechowskiego. Toteż praca nie szła tak szybko, jakby się powinno. — We dnie i w nocy pilnowało roboty w warsztatach dwóch oficerów, szczególnie w czasie ostrzeliwania przez artylerię nieprzyjacielską, by nie dopuścić do popłochu między robotnikami. Zaznaczyć należy, że tak w czasach przygotowawczych, jak i budowy pociągu pancernego, popierał i ułatwiał pracę, o ile to było w jego mocy, naczelnik ogrzewalni inż. Kuczyński.

Dnia 14. listopada zgłosił się do komendanta inż. Nieniewski, por. marynarki austriackiej, ofiarowując swą pomoc. Robotą poszła teraz również, gdyż por. Nieniewski nie szczędził sił i zdrowia, przesiadując bez snu w warsztatach przez kilka dni z rzędu.

Dnia 18. listopada otrzymał por. Orzechowski rozkaz, by 19./XI. rano wyjechał naprzeciw płk. Tokarzewskiego, zdążającego z Przemyśla na odsiecz Lwowa. Rozpoczęła się więc gorączkowa praca, zbierano ludzi i uzbrojenie z wszystkich oddziałów; tak jeden karabin maszynowy z obsługą dała szkoła Sienkiewicza, dwa karabiny maszynowe lotnisko, załogę zaś stanowić mieli robotnicy warsztatowi na ochotnika. Płk. Śniadowski, komendant artylerji dał rosyjską armatkę górską, z przetoczonemi do niej pociskami austriackimi. Zmontowano ją na prędkę na lorze i opancerzono workami z piaskiem. Od 19. rano czekaliśmy wszyscy na wyjazd, jednakże inż. Nieniewski wypuścił pociąg z warsztatów dopiero późnym wieczorem, tak iż pierwszy wyjazd na front nastąpił 20. listopada o 2. godz. rano. Skład pociągu nie przedstawiał się wówczas groźnie: niezupełnie opancerzona lokomotywa, lora z armatą, opancerzona workami z piaskiem, jeden wóz pancerny też niewykończony i je-

den zwykły ciężarowy wóz opancerzony wołkami z piaskiem, z wyciętymi strzelnicami. W takim składzie dojechalismy bez przeszkód do Zimnej Wody, skąd trzeba było już patrolować. Mimo ostrożności, jednak niedoświadczeni, wykoleiliśmy się pod Mszaną, gdzie tor przez Ukraińców był zerwany. Zabrano się do wsadzenia wykolejonych wagonów na tor i naprawy tegoż, jednakże robotnicy, zaatakowani przez bandy nieprzyjacielskie, nie wytrzymali ognia i schronili się do wozów. Armatka po pierwszym strzale rozleciała się, ludzie przemęczeni, nie żołnierze, wogóle położenie rozpaczliwe.

Wkońcu udało się wykolejone wagony wsadzić na tor, podczas gdy patrol złożona z oficerów i lepszych ochotników, rozpędziła bandy chłopskie, aż poza wieś. Komendant, widząc, że z taką obsadą daleko nie zajędzie, powrócił z pociągiem do Lwowa, by zmienić załogę i znów wyjechać w stronę Przemyśla. Nim to jednak usku-

tecznił, nadciągnęła odsiecz płk. Tokarzewskiego. W międzyczasie pracowano nad wykończeniem pociągu i składano lepszą załogę, biorąc 30 ludzi z ochotniczych oddziałów obrony Lwowa.

Dnia 21. listopada wyjechał pociąg pancerny w stronę Sichowa, bez armatki i już z lepszą załogą; zaatakowany przez półtora sotni Ukraińców z dwoma karabinami maszynowymi, śmiałym wypadem rozbił ją, wziął 15 jeńców, 20 karabinów, kuchnię polową i wiele amunicji, oraz innego materiału wojennego. Nieprzyjacieli miał tak wielkie straty, iż cofnął się, jakęśmy się później dowiedzieli, aż poza Bóbrkę. W dniu tym był ranny ppor. Liebermann. Następnego dnia zajęliśmy bez walk Dawidów.

Takie były listopadowe początki pierwszego lwowskiego pociągu pancernego, owej sławnej „Pepetrójki“, walczącej dzielnie, bohatersko i skutecznie przez cały czas bojów o Lwów.

JANINA ŁADA WALICKA.

NIEZNANYM..

Nie o tych myślę dzisiaj, których pierś za zasługi ozdobiona zosiła krzyżami i odznaczeniami.

I nie o tych, którzy poszli wysoko, zasłużone piastując rangi.

Nie o tych nawet, którzy legli w swej ziemi, a imiona ich wyrte są w złotej ksędze dziejów Narodu.

Nie, nie o tych wszystki.h.

Myślę dziś o bojownikach cichych, nikomu nieznanym z imienia i nazwiska, a których życie, czy trud, czy serce płomienne zaważyły wiele na szali obrony grodu naszego.

Litanja ich bardzo długa, nie starczyłoby na nią ani paciorków różańca, ani rejestrów historii...

Ci wszyscy, którzy pod bezimiennymi kopczykami leżą na Campo Santo Lwowa...

Ci wszyscy, którzy trud swój i znój dawali bezimiennie powstającej z grobu Polsce...

I te wszystkie, które bez skargi mężów swych i synów słały na bój, zda się, beznadziejny...

I ta liczna rzesza pomocnicza, gdzie kucharki i ich panie, hrabiny i pomywaczki gotowały strawę dla żołnierzy i prały ich bieliznę. Zgodnie, składnie, dla wspólnego celu.

Myślę dziś o Was, pacholeta bez imienia i nazwiska, w mundurkach szkolnych, którym potężny zew wewnętrzny kazał: „Rzucaj książkę, chwytaj broń!“ Głodni, zziębnięci, zajmowaliście najniebezpieczniejsze placówki. Na śmierć pewni, szliście, a usta wam się śmiały, bo czuliście że śmierć kosząca Was jak krwawe maki, nowych rodzi

bohaterów. I o Was myślę, Wy bezimiennie dzieci ulicy, z gołymi rękami idące zdobywać samochody, najeżone hajdamackiem wojskiem, Wy, dzieci Lwowa, znające każdy zakątek rodzinnego miasta, prześlizgujące się jak węże zwinnie pomiędzy nieprzyjacielskimi placówkami, jak szare cienie wnikające w załomy muru... I wyście rozkwitali śmiertelną purpurą kwiatów. I wy umierałście cicho, bez skargi, dla Niej... dla Polski. Może serca Wasze, były zbyt duże, zbyt kochające na drobne ciakła Wasze, o bezimienni wybrańcy bogów...

Grzebano Was wszystkich tam, gdzie się dało, na podwórkach, w dziedzińcach, w ogródkach, na wolnym skrawku ziemi. A potem dopiero, o bezimienni rycerze, przeniesiono Was wszystkich na cmentarz, ale za karawanem ubogim nie szła rodzina, bo byliście i pozostaliście nieznanymi. Znano tylko czyn i śmierć waszą.

A Wy wszyscy, cisi pracownicy w skromnej bluzie robotniczej, pracowaliście dniem i nocą przy warstacie, by umożliwić walkę orężną innym, więc o głodzie i chłodzie, pod ostrzałami kul i granatów pękających, tyle swej myśli chętniej, serca i ducha wielkiego włożyliście w dzieło obrony Lwowa! Nikt Was nie odznaczał, niczem Was nie nagrodzono. Nieznani jesteście...

...W myśli mej widzę teraz korowód wielki kobiet: bezimienne legionistki, walczące w męskich oddziałach pod pseudonimami, o ciałach poszarpanych kulami, pochowane bezimiennie; sanitariuszki, bezustannie wyrrywające ze

szponów śmierci chorych i rannych; ochotniczki, dowożące kuchnie polowe na najbardziej oddalone placówki. Nigdzie nie zapisane, nie mające krzyżw.

Nie odznaczano krzyżami „kucharek“ z rozmaitych sfer społeczeństwa, które na pierwsze zawołanie stanęły karnie do „szeregu“ w kuchni, do gotowania, do obierania ziemniaków, do mycia naczyń, do prania. Kto o Was wspomniał kiedy? Kto zna imiona Wasze? Trwałyście na stanowisku, gdy wołał obowiązek. Odeszłyście cicho, gdy was nie było potrzeba...

A ile Was, bezimiennych kobiet, przekradało się ogrodami i polami, jako kurjerki, by przenieść ważne rozkazy, by do „Pobudki“ dostawić korespondencję „rozdzielonych“. Ile Was przeprowadziło z „ruskiej“ strony na „polską“ mężczyzn, zgłaszających się do wojska? Ile Was poszło w tę ciężką drogę i... nigdy nie wróciło do domu... Nie pochowano was z honorami wojskowymi, nie wymieniono was w rozkazie, i nazwiska wasze pozostały nieznane.

I nie wiem dlaczego, myślę dziś o Tobie, Jurku jasnowłose, którego spotkałam w roku 1920. w poradni przeciwgruźliczej. Śmierć nazaczyła już oczy Twoje czarnym cieniem choroby, niepojęty uśmiech rozchyłał Twe blade usteczka kwiatka wielkomiejskiego, gdy badający Cię lekarz odwrócił się od Ciebie i szepnął mi: „skazany... gruźlica...“ Zbliżyła się wówczas matka Twoja, wdowa po oficerze, urzędniczka i rzekła:

— Panie doktorze, proszę go ratować... on mój ostatni... Dwóch starszych poległo w obronie Lwowa, ten jako dziesięcioletni chłopak, nienadający się do służby z bronią, przez cały listopad i grudzień pełnił służbę łącznikową. Raz, ostrzeliwany, całą noc przeleżał w śniegu... nie miał płaszcza ciepłego... I te forsowne marsze... Ostatnie dziecko...

Niema już jasnowłosego Jurka i gdzieś na głuchej prowincji małą mogilkę jego tulą dziś osierociąle ramiona Matki...

Matka! Zaprawdę nieznana i zapomniana bohaterka! A ileż matek takich w to święto Wyzwolenia kaleczy objęcia swoje o drewniane krzyżyki małych i większych mogilek. Ileż matek takich Lwów widział z twarzą pogodną a żałobą wieczną w sercu, pracujących dalej dla celu, łączącego je z dzieckiem w zaświatach. Mężne, nieugięte w bólu, nie rządzące się kwoczym mózgiem, by pisklętom ich było ciepło i syto, zdala od niebezpieczeństwa. One potrafiły pisklęta te tak wychować, by Polskę nadewszystko ukochały, by dla Niej mogły walczyć, nie bojąc się niewygód, ran, ciemnej nocy, zasadzek, śmierci, by dla Niej znosiły cierpliwie najgorsze niewygody, trud ponad siły, przewyciężały zmęczenie i chorobę. One błogostawiły je na drogę daleką,

bez powrotu. One szły do szpitali opatrwać rany swoich i cudzych dzieci, one dawały ostatnią radość ich sercom, one zamykały im powieki na sen wieczny. One te wiecznie żywe, wiecznie krwawiące rany po utracie najdroższych umieją ukrywać bohatersko. Te matki, te bohaterki ciche, nieznane, wyhodowały nie kwiaty cieplarniane, lecz istoty silne jak z żelaza, kutego wolą silną i miłością Ojczyzny.

Nikt o Was, Matki Orląt naszych, nie mówi, nie nagradza Was. Jesteście w gromadzie Nieznanych.

Ale Wam wszystkim, o Nieznane! podziękowała Polska swą wolnością. Ale nad grobami waszemi, jak wiecznie płonąca żagiew nad grobem Nieznanego Żołnierza świecić będzie światło najważniejsze: Światło Czynu...

ZOFJA KAMIŃSKA.

TESTAMENT KRWI...

Wszystkich nas życie wprzęgło w obowiązki tryby i rozproszyło po Polsce i tu i tam.

A Polska długa i szeroka.

— A lata płyną jedne za drugimi i jest ich już dziesiątek od owej chwili wielkiej i jedynej, gdy to w milionach polskich dusz objawił się ten, wielki narodowy cud, — że Polska nasza, że odtąd wolna i niepodległa!

— I owa chwila jedyna zamknęła długie szeregi lat niewoli. W owej to chwili lekka się stała ziemia tym, co poprzez długie wysiłki pokoleń w obronie Jej wolności walcząc, poległ.

— Owa to chwila jedyna rozwarła wierzeje kazamat, — by przez więzienie magdeburskie przez Szczypiorno, Benjaminów i Huszt, — by poprzez tajgi sybirskie, przez Murmań, Kaniów, Rańczę, Francję i Włochy — zwrócić Narodowi skarb jego największy: w niewoli poczęty dla wolnej Polski wyzwolenie Trud i Czyn...

Dziwnie odległym zdaje się on czas, gdy polski Naród gnębił wróg, gdy synowie nasi we wrogich armjach walczyli przeciw sobie i dla obcej sprawy ginęli, — gdy nami rządziła przemoc i krzywda, gdyśmy cierpieli nędzę i głód, — a w koło nas pożoga i zniszczenie — i my wtłoczeni w obcych interesów krąg, bez, jutra zda się, bez przyszłości!

W on czas... pod koniec ostatniego roku wojny światowej, gdy umęczony żołnierz zaborczych armij rzucał broń i wracał do domu, burząc po drodze trony, — gdy na całym świecie poczęły cichnąć sieroce łzy i zapanował pokój... w on czas — żołnierz — Polak zbierał rzucone na pobojowiskach karabiny, niósł je do Ojczyzny i rozdał na prawo i lewo swoim — dla swojej sprawy...

A sprawa to była jasna i święta i wszystkim wiadoma. I w on to czas na ziemiach polskich zapanowała jedna myśl i jedna powinność.

Nie było umęczonych wojennym trudem, nie było niedołężnych, niezdolnych do walki o swoje...

A gdy wschodnie rubieże zostały odcięte od wolnej już Ojczyzny i zdane na własne siły — te zaświadczyły godnie o swej przynależności do Rzeczypospolitej.

Nigdy, jak wówczas i nigdzie na świecie, obowiązek powszechnej dla Ojczyzny służby, nigdy zasada jedności nie osiągnęła takiego triumfu, jak wówczas, gdy w obronie Lwowa kamienice jego redutami były, a niezdobyte placówkami sutereny, pierwsze, drugie i ostatnie piętro, gdy ojciec i syn, uczeń i nauczyciel, starzec i dziecko, robotnicy z pod słomianej strzechy, chłopci, pałacowy pan w jednym stanęli szeregu. A gdy trzeba było wzmocnić szeregi to wzmacniały je kobiety i dzieci.

Ostały się na miejscach swoich cmentarzyska, kurhany i mogiłki, co krzyżami znaczą granice naszych zmagania, potęgę naszych wysiłków przekuty w wielki ofiarny czyn, potężne to zaiste stanice wolnej, niepodległej Polski.

Cześć im i wiekopomna chwała!

To było nasze wczoraj, gdyśmy stawiali polski zbrojny czyn... a od owego wczoraj dzieli nas lat dziesiątek.

Ktoś powie dużo — czasu szmat —

Ktoś powie mało: — dziesięć lat —

Tak jest: i czasu szmat i chwila jeno.

Dawno już bowiem, dawno był on czas, gdy na ziemiach naszych wzdłuż i wszerz jedno wadało hasło: w jedności siła! I jeden brzmiał odzew: Ojczyźnie służ!

A równocześnie — jakżeż niedawno był on czas, było to nasze wczoraj...

Długie dwa lata nam wojna, której wygrana ustaliła granice Państwa, a rozstrzygnięcie tej wojny nie o naszej jeno stanowiła przyszłości, ale i o losie całej Europy.

Z wygraną wojną kończy się w społeczeństwie naszym powszechne zrozumienie i ohotne pełnienie obowiązków obywatelskich wobec Państwa.

Zdało się społeczności polskiej, że gdy po zwycięskiej wojnie do domu powróci pełne zaszczytu, chwały i dumy — to już wysiłek jej powszechny w państwowo-twórczej pracy nie będzie konieczny.

I tu zaczęło się, wszechwładnie dzisiaj panujące w społeczeństwie pomieszanie praw i obowiązków.

I w temże pomieszaniu pojęć zatraciliśmy poczucie naszych najistotniejszych powinności obywatelskich wobec Państwa.

Zatraciliśmy największy talizman każdego wolnego Narodu, jakim jest poszanowanie i umiłowanie idei własnej państwowości — poszanowanie prawdziwych wielkości i wartości moralnych i społecznych. I odtąd nie umiemy jeszcze jasno patrzeć w tę najprostszą prawdę, że autorytet państwa to „wielka rzecz“, że podporządkowanie życia osobistego w ramy państwowo-twórczych zadań jest konieczne i musi być bezwzględnie udziałem całego Społeczeństwa.

I tak nadszedł dzień dzisiejszy.

O zwycięstwie naszego historycznego wczoraj zdecydowała Wiara, Wola, Czyn.

Żyjemy na przełomie.

Dziś również siła moralna całego Społeczeństwa będzie elementem decydującym w walce o prawo istnienia w rodzinie wielkich narodów, o mocarstwowe stanowisko Państwa, w międzynarodowej konkurencji pracy, postępu, kultury...

Nieśmy zarzewie wiary wszędzie i powszechnie: ona zrodzi siłę moralną zdolną wypełnić nasze posłannictwo i testament krwi.

Bo oto idzie dzień jutrzejszy.

Musi on być zwycięstwem naszego historycznego wczoraj nad słabością dnia dzisiejszego!

Z notatek skauta.

Dnia 5 listopada 1918 z polecenia komendanta Odcinka III. kpt. Kamińskiego (dziś płk. szt. gen.) spełniałem rozmaite funkcje w Szkole Konarskiego, pod wieczór zjawił się chłopczyk mały i drobny, w mundurze gimnazjalnym, o oczach błyszczących energią i zapalem. Zameldował się do wojska. Naturalnie dowódca zapytał go o wiek... potem o pozwolenie rodziców... Pierwsze pytanie wypadło „niedostatecznie“ (dwanaście lat, druga gimnazjalna!) a drugie „zupełnie źle“. Otrzymał

przydział do „Wojska kartoflanego”. Widziałem, jak malec po bohatersku połykał łyżę, wyprężył swą drobną figurkę służbowo i poszedł do służby pomocniczej, zorganizowanej przez kapitanową Zofję Kamińską. Ani marzyć o karabinie! Mietek, bo znaliśmy wówczas tylko jego imię, pełnił przeważnie służbę kurjerską, był prawą ręką komendanta, który wiedział, że wszędzie go można posłać, że spełni każde zadanie. Jednakże parokrotnie w nocy mignęła mi się jego sylwetka, odziana w przydługi płaszcz żołnierski, z karabinem naprawdę większym od niego. Gdzieś się chyłkiem wymykał z drugim chłopakiem. Spotykałem go później na najniebezpieczniejszych placówkach. Zatrzymany przeze mnie, powiedział, że idzie „bo taki ma rozkaz”, poprosił jednakże, by nie mówić o tem komendantowi.

Aż teraz, po latach dziesięciu, spotkałem dawnego „mikrusa” Mietka w Związku Obrońców Lwowa, gdzie

jest jednym z najczynniejszych członków, i kończy studia uniwersyteckie. Przypomnieliśmy sobie dawne czasy. Na prośbę moją pokazał mi swoje legitymacje z listopada, przechowywane z pieczytą, ale rozlatujące się w strzępy. Fotografia wyblakła i pożółkła dziecinnej bardzo twarzyczki, data urodzenia, imię i nazwisko: Mieczysław Eugenjusz Szneid, dalej karty służbowe, przepustki i rozkazy rozmaite. Najciekawszą była stara księżeczka, z jego zapiskami skautowskimi: przepisuję z notatnika tego dwunastoletniego harcerza polskiego niektóre ustępy.

31. października 1918. Zbiórka o szóstej w Sokole-Macierzy. Przyszło nas około dwunastu. Kilku akademików zabierało głos. Jeden z nich powiedział: „Proszę przygotować się do niespodzianek. Mogą zajść ważne rzeczy. Nocować będziecie tutaj”. I nasze hasło „Czuwaj”. Zostaliśmy więc w Sokole, trochę głodni, bo nic nam nie dano do jedzenia.



KPT. ANTONI KAMIŃSKI
dowódca Odcinka III.

1. listopada. Stało się! Lwów w ruskich rękach! O szóstej rano zbudowano nas tą straszną wieścią. Do roboty! Mnie kazano roznosić po ulicach odezwy, wydrukowane już dawniej. Miałem je rozlepić na rogach ulic, na domach, oraz rozdawać osobom, „którym z oczu patrzy, że są Polakami”. Starałem się wypełnić rozkaz skrupulatnie, zmykałem przed patrolami ruskimi, mimo to, jeden żołnierz ukr. strzelił do mnie przy ul. św. Mikołaja, obok „Lektora”. Przedziurawił płaszcz studencki, mama będzie się gniewała.

2. listopada. Dostałem rozkaz pilnowania Domu Tow. Pedagogicznego, gdzie przebywa Naczelna Komenda wojska naszego. Na obiad zwolniono mię do domu. Rodzice przez dwa dni nie wiedzieli, co się ze mną działo

i bardzo się niepokoiłi. Obiad ten, po parudniowej „głodówce” smakował mi bardzo. Spałem w łóżku.

3. listopada. Zameldowałem się od rana w Sokole. Kazano mi zbierać i nosić amunicję, ale ostrożnie, by nie wpaść w łapy zbójów. Przyniosłem całą czapkę naboji. Radość! Rozchwytano je natychmiast. Na podwórzu ćwiczyli się we władaniu bronią akademicy i gimnazjaliści. Mnie kazano stać na warcie, by uprzedzić, gdy się zbliży nieprzyjaciel.

4. listopada. Mówią, że chłopcy wciąż partjami przechodzą na tamtą stronę. Tam naprawdę jesteśmy potrzebni. Podobno istnieją podziemne przejścia kanałami. Muszę przejść! Stach jednakże bardzo mię speszył, bo podobno do wojska biorą chłopców

tylko od lat piętnastu i za zezwoleniem rodziców. A tu jeszcze na nieszczęście tak mało wyrosłem... Dziś cały dzień znosiłem amunicję.

5. listopada. Zrana przybiegłem do Sokola po rozkazy. „Sokół” zdemolowany granatami. To zadecydowało. Muszę przejść! Byłem w mieszkaniu, ucałowałem ręce rodziców. To moje pożegnanie. Próbowałem przejścia przez Ogród Jezuicki. Postarunek ruski zawrócił mię z drogi. Potem chciałem iść przez Cytadelę i Pełczyńską. Nikt u nas dobrze nie wie, gdzie jest Polska Komenda. Ale nie udało się, bo żołnierze siłą odrzucili mię. Więc potem przekradłem się ulicą Kuleczką, ogrodami, zboczem Cytadeli, aż na ul. Leona Sapiehy. Tu spotkałem pierwszego żołnierza polskiego, z orzełkiem i kokardą biało-amarantową. Ucałowaliśmy się. Wskazał mi drogę do Komendy w Szkole Konarskiego, do kpt. Kamińskiego. Cudnie tu! Naprawdę inaczej się oddycha! Wszędzie polscy żołnierze. Są i uczniowie gimnazjalni. Zaprowadzono mię do komendanta. Taki wysoki, z dużymi wąsami. Zapytał o wiek. Skłamałem, choć to nam nie wolno, ale w takiej sprawie! Powiedziałem, że mam lat trzynaście. Gorzej z tem zezwoleniem rodziców... Komendant tłumaczył, że narazie niema małego karabinu, ale że zapisze mnie do Wojska Polskiego, a tymczasem mam iść do służby pomocniczej. Tu, w tem „Wojsku kartoflanem” zaopiekowała się mną p. komendantowa Kamińska. Dostałem płaszcz żołnierski, prawdziwy, orzełka na czapkę i kokardkę polską. Zaraz kazał mi kapitan K. pójść z rozkazem na ul. Janowską. Potem znów na Technikę do szpitala. Spimy razem, w jednej sali szkolnej. Ledwie mogę zapisać to sobie, bo ciemno i spać bardzo się chce.

6. listopada. Dostałem dziś bagiet, „fasuję” chleb, kiełbasę i kawę i zdaje mi się, że jestem prawdziwym żołnierzem, a nawet myślę, że może jestem adjutantem kapitana naszego, bo wciąż mię woła i posyła z rozkazami. Żeby tak karabin! Ale i to się zrobi. Mówiłem dziś o tem z Antkiem. On już z piątej gimnazjalnej i umie sobie radzić.

17. listopada. Teraz już naprawdę nie mam czasu, by zanotować zdarzenia ważniejsze, bo 7 listopada spełniły się moje najgorętsze życzenia! Od dnia tego mam karabin, duży, prawdziwy, rosyjski. Antek skądś dostał dla siebie i dla mnie. I tak teraz już jestem prawdziwym polskim żołnierzem! W dzień jestem dalej w „Wojsku kartoflanem” a w nocy chodzimy na placówki. Byłem w Ogrodzie Jezuickim, na Bema, na Kulparkowie. Antek od wczoraj ranny pod Szkołą Kadecką, ale się wyliże.

18. listopada. Zawieszenie broni. Walczyć nie wolno. Ale i tak posyłają mię ciągle z meldunkami i poleceniami. Z radością spełniam każdy rozkaz, bo to dla Polski.

19. listopada. Udało mi się wpaść do Antka do szpitala. Mówi, że będzie zdrow, ale ta ręka jego... Powiedział: „Mietek, oddałbym z radością i drugą, byle zwyciężył!” Zwyciężymy!

22. listopada. Radość, radość!

Od rana Lwów nasz! Pod wieczór dostałem parugodzinny urlop i wpałem do domu. Jakże się rodzice ucieszyli! Bo już mię opłakali... Wykapałem się, mama mię pobłogosławiła i wracam znów do mojego komendanta. S. K.

JERZY ZASĄŃSKI.

Czynnik Zwycięstwa w Walkach Listopadowych.

Zrozumiałą jest rzecz, że wysiłki moralne, że czyny ducha są wielkością niewymierną: nikt nigdy nie potrafi zważyć bohaterstwa w... kilogramach, ani też podać miary wytrzymałości bojowej w metrach.

Są przecież pewne dane realne, łatwe do ujęcia konkretnego, które nam pozwolą należycie uwypuklić wyczyn ideowy.

Jakie wartości duchowe wydobyła na jaw Obrona Listopadowa, można wykazać na ścisłym bezstronnym zmilczeniu i zliczeniu realnych danych, znanych nam i obliczalnych.

Przypatrmy się Obronie Lwowa *sine ira et studio*.

Jeżeli weźmiemy stany liczebne wojujących obu stron, każdy dziś wie, że Ukraińcy rozporządzali przez cały czas wielką przewagą cyfrową.

Pod względem wyćwiczenia górowali Ukraińcy znacznie. Byli to bowiem żołnierze z austriackich baonów kadrowych i asystencyjnych, żołnierze Legjonu ukraińskiego i wreszcie ochotnicy, wyćwiczeni w organizacji strzeleckiej, gdy element t. zw. łażików kadrowych, żołnierzy nieobeznanych z bronią, odrazu pierwszego dnia uciekł ze Lwowa i nie obciążał zbyt ciężkim balastem wojska ukraińskiego. Przeciwnie, wojsko polskie roilo się od nowicjuszy, częstokroć raczej uciążliwych dla przeprowadzania celów dowództwa.

Pod względem zgrania się Ukraińcy, wdrożeni już w ramy kadr austriackich, zespoleni w Siczowych Strzelcach, tworzyli oddziały jednolite naogół. Natomiast Polacy nie mieli ram wspólnych: wszak poszczególne (bardzo nieliczne) organizacje wojskowo-polityczne nawet na parę godzin przed kataklizmem nie zdobyły się na spóldziałanie, a potem na każdym kroku dawało się odczuć, że materiał, składający oddziały jest ogromnie pstry i zazwyczaj dowódca nie wiedział, czego może od podkomendnych żądać.

Uzbrojenie Ukraińców było dostateczne. Kadry austriackie przekazały im wielką ilość karabinów ręcznych i maszynowych, uposażono żołnierzy w granaty ręczne, tak ważne w walce ulicznej, znalazły się i działa, a lubo artylerja w walce wewnątrz miasta nie odgrywa tak doniosłej roli,

jak w polu, artylerja ukraińska robiła swoje. Zupełnie odwrotnie Polacy: nieprzygotowanie bojowe wojska polskiego wyraziło się najdobitniej nader szczupłym uzbrojeniem walczących.

Samochód pancerny, pociąg pancerny — były to improwizacje o charakterze moralnym raczej, niż rzeczywistym bojowym; podobnie lotnictwo.

Tak samo a amunicja. Zaopatrzenie w amunicję u Ukraińców nie pozostawiało nic do życzenia, gdy po stronie polskiej szczupłość amunicji i częsta jej nieprzydatność musiałaby każde dowództwo, nieprzyzwyczajone do improwizacji, wprost przerazić.

Jeżeli możnaby zarzucić Ukraińcom, że technicznie nie wyzyskali wszystkich możliwości (zwłaszcza atak gazowy i miotacze ognia), to tem mniej można zauważyć zastosowania nowoczesnej techniki wojennej u Polaków, którzy byli w pół-bezbroni.

Oglądając zaopatrzenie Ukraińców, moglibyśmy poddać krytyce ubranie, obuwie — dostarczanie jadła, ale na froncie włoskim żołnierz austriacki miał gorsze wtedy zaopatrzenie; natomiast opieka nad rannymi w mieście wypadła lepiej, niż w polu. Zresztą trzy tygodnie wyrzeczeń wśród naogół łagodnej aury listopada nie potrafiłoby nadwyrężyć ducha żołnierza, który był już wytrenowany w austriackiej nędzy.

Zaopatrzenie wojska polskiego było fatalne, jeśli oceni się je ze stanowiska wojskowego — zwłaszcza jeśli się zważy, że bijący się rekrutowali się głównie z biednej młodzieży studjującej i robotniczej, lub z ludzi, wprawdzie dobrze zaopatrzonych, ale nie znających wyrzeczeń choćby koczarskiego życia.

A czynnik tak ważny — dowództwo? Bezsprzecznie, dowództwo ukraińskie było jednolite, bo wcześniej przygotowane, czego dowodem sprawne przeprowadzenie zamachu w przedświt 1, listopada, było karne, odważne, (wielki procent oficerów ukr. rannych!).

Poddowódcy okazywali wielką subordynację wyższemu dowództwu, może jedynie nie starając się o wzajemny kontakt, ale to już była nieumiejętność, której wykorzystać nie mogło doświadczenie polowe.

Służba łączności fungowała u Ukraińców poprawnie.

Popelniono dowództwo ukraińskie grube błędy, zrozumiałe, ale niemniej fatalne dla sprawy ukraińskiej. Przedewszystkiem wogóle przerost polityki nad wojskowym punktem patrzenia kazał brać się do zadania trudnego, do zajmowania miasta, o którym chyba nie przypuszczali, że jest... ukraińskim. Następnie zaniedbali Ukraińcy zupełnie zbudowania frontu przeciwpolskiego, oczywiście nie w postaci linii a la Wielka Wojna, ale w utrzymaniu ważnych punktów na granicy swych planów antypolskich (Przemyśl!).

Wziąwszy się do zdobywania cwierni iljonowego miasta, Ukraińcy popełniali na każdym kroku błędy, świadczące, że dowództwo ich nie zdawało sobie sprawy ani z celu walki, ani z środków. Oddziały maszerowały przez ulice jak w polu, myliły drogę (najlepsze kompanje „Ususów“), fortyfikowały swoje pozycje nieudolnie, rozpoznanie sił i zamierzeń nieprzyjacielskich zupełnie wadliwe, oddziały bojowe nie umiały stworzyć zazwyczaj połączenia ani w tył, ani na boki.

Bo dowództwo ukraińskie składało się z podrzędnych rezerwowych oficerów austriackich i z legionistów, którzy nigdy nie mieli szerszego zadania do wykonania — składało się z ludzi o niskiej inteligencji, bez talentu i inicjatywy. Pozwoliwszy sobie wydrzeć inicjatywę, nie umiało dowództwo ukraińskie stworzyć bazy obronnej. Mając wyższość terenu (dominujące punkty i gestwa domów były w ręku wojsk ukr.!) nie zdołało dcwódtwo ukraińskie np. z rejonu Park Stryjski — Persenkówka — las Oświeca, opierając się o stanisławowską linię kolejową oskrzydlić Polaków i wyrwać im arcyważny dworzec kolejowy.

A zatem rzekłby ktoś: walkę o Lwów w listopadzie 1918 przegrał c. i k. subaltern, wyniesiony na za wysokie stanowisko?

Nie! Jeżeli porównamy oba dowództwa, to w polskim nie dostrzeżemy w najdonioślejszych, w pierwszych dniach jednolitości, nie dostrzeżemy potem plusów, któreby zrównoważyły minusy ukraińskie, nie mówiąc, że wymienione wyżej słabe strony Polaków powinny były doprowadzić do klęski nawet z ręki tak nieświeatnych wodzów, jak komendanci ukraińscy.

Gdybyśmy zważyli wszystkie te plusy i minusy, jeszcze nie znaleźlibyśmy tego czynnika, który dał Polakom zwycięstwo. Tym czynnikiem jest zwyczajnie w boju rozstrzygający czynnik: morale żołnierskie, chęć zwycięstwa.

Każda akcja bojowa wykazywała, że żołnierz ukraiński, to wymęczony wojną landszturmista, który na każdym kroku powtarzał sobie własne rozsądne

przystawie: „sedy tycho, ne rypajsia!” a polski żołnierz, to chcący zwycięstwa. Obecność młodzieży ideowej i kobiet podwoiła w wojsku polskiem temperaturę uczuciową, tak niezbędną do walki. Ten zapał wiał i od tych, którzy nie mogli nieść broni, gdy przeciwnie ukraińiec czuł się jaknajgorzej wśród obcych ludzi i obcych i obcych murów.

Ta ludność cywilna wyrównywała swoim zapałem ogromne luki wojskowe armii polskiej. Zasilala kadry, dostarczała broni, amunicji, zaopatrywała wojsko w ciepłą strawę, dawała im przytułek, wypoczynek. Ona służyła jako łączność, dostarczała

potrzebnych wiadomości, pielęgnowała chorych i rannych.

Niepomyślny dla Polaków teren nie był taką zaporą dla akcji bojowej, jak dla Ukraińców nieznajomość terenu i brak życzliwych przewodników. Nieudolność fortyfikowania, którą widzimy i u dowództwa polskiego, wyrównywały wysiłki „cywilów”, którzy zaprawdę zamienili na twierdzę każdy próg.

Komenda ukraińska za słaba była, aby wziąć Lwów blokadą, czy też zbombardować go. A szturmem nie mogła wziąć, bo natrafiła na czynnik nieuchwytny, ale nieugięty, czynnik moralny, ale silniejszy od dział: w o l a l u d u.

M. GREKOWICZ-HAUSNEROWA.

Miasto - Żołnierz.

Zabliżniły się rany Lwowa po krwawych zmaganiach wojennych, zarosły trawą i kwiatami mogiły Orląt, okryły się nowym tynkiem, poszczerbione granatami mury. Zwalone zgłiszczą zastąpiły świeże, lśniąco czystością budynki.

A jednak pozostały na obliczu miasta ślady trwałe, które mówią przybyszowi, że drogo i krwawo opłacił Lwów swą przynależność do Rzeczypospolitej. Te ślady — to nietylko popsute bruki i szczyrby od pocisków karabinowych, upstrzone jeszcze dziś na ścianach niektórych domów, jak ślady ospy na twarzy człowieka. Przybysz, oglądający dokładnie budynki Lwowa, ujrzy na kilku największych gmachach niewielki krzyż żelazny, wmurowany w frontową ścianę, opatrzone tylko nagą, wiele mówiącą datą. Te krzyże, to znaki, że budynki owe odegrały historyczną rolę w obronie Lwowa.

Bynajmniej nie bastjony twierdzy, ani murami obronnymi placówki — nie mają te budynki w sobie nic wojennego, ani z nazwy, ani z przeznaczenia, ani z budowy. Powołała je chwila i konieczność, jak powoływała i mieszkańców Lwowa z domowych pieleszy, z ławy szkolnej, z biura i warstata — ludzi, którzy dawno lub nigdy karabinu nie mieli w ręku, dzieci niemal, co go ledwo dźwignąć umiały. Uczeń, akademik, robotnik, urzędnik — stał się na zawołanie żołnierzem.

A budynki Lwowa, pokojowym, kulturalnym celom przeznaczone, umiały być w potrzebie stanicami niezdo- bytemi małego żołnierza.

Oto szkoła imieniem Sienkiewicza przy ul. Lwowskich Dzieci, z której rzucone hasło obrony rozpało mę-

stwo w duszach przerażonych wieścią o zajęciu miasta rzesz ludności. Druga taka placówka — to Dom Techników przy ul. Issakowicza. Okazały gmach dworca głównego, którym szlusznie chlubi się miasto nasze, jako najpiękniejszym na ziemiach polskich, otrząsnął się już dawno z gruzów i zgłiszczą, jakby tajemnicą jego miały być owe zmułne zmagania, gdy go odbiły Ukraińcom polskie Orlęta. Gmach Politechniki — w czasie walk listopadowych wielki szpital Wojsk Polskich z pierwszym cmentarzem żołnierzyków na dziedzińcu, dziś pomnikiem ozdobionym; poczta główna, której każdy niemal kamień bohater- sko był zdobywany, a boczna brama workami piasku i kamieni zabaryka- dowana, stanowiła niezwalczoną „re- dutę Piłsudskiego”; szkoła im. św. Marji Magdaleny komenda II. odcinka, szkoła im. Konarskiego, gmach „So- koła - Macierzy”, gdzie miescił się w dniach inwazji ukraińskiej tajny sztab polski; Dom Akademicki im. Adama Mickiewicza, skąd wyszła pier- wsza patrol polska na ulicy miasta, wysłana przez organizującą się tu P. O. W. i inne związki młodzieży — to także kawalerowie Krzyża Obrony Lwowa.

Po zwycięskiej wojnie żołnierz porzucił karabin, wrócił do książki, biura, warstata, stał się znowu obywatelem. Kończył szkoły, zdawał egzaminy, zajmował stanowiska. A domy-twierdze oblekły się nanowo w pokojowe szaty i służy państwu i społeczności, jako urzędy, biura, internaty, szkoły.

Zostało im jednak wspólne, silnie wyrze, choć niewidzialne piętno. Pię- tno, które unosi się nad całym Lwo- wem, a które Marszałek Józef Pił- sudski określił tak wymownym mia- nem „miasta-żołnierza”.

WŁADYSŁAW CROBKIEWICZ.

Walka i miłosierdzie.

Znane są dobrze i po najdłuższe pewnie lata tkwić będą świeżo w pa- mięci mieszkańców Lwowa, te straszne walki o dworzec, o pocztę, na placu Bema, na ulicach Stryjskiej, św. Zofji, Pełczyńskiej i ten krwawy i jak upiór okropny bój w ogrodzie Jezuickim pod Sejmem.

A ileż to takich walk krwawych, stoczono na schodach kamienic, na strychach, ba, nawet na dachach, o których to walkach tylko głuche wieści krążą, gdyż świadkowie i ucze- stnicy poginęli.

W takich walkach, napięcie ner- wów dochodzi wkrótce do zenitu a konsekwencją tego jest, że walki te nie przeciągają się długo i o wy- niku ich rozstrzygają nie walory tak- tyczne, lecz osobista odwaga i inicja- tywa nieraz poszczególnych żołnierzy!

Nie wyższość uzbrojenia, lecz zdolność poświęcenia!

Nie siła, lecz duch!

Rzecz naturalna, że w takich wa- runkach, w miarę zwiększającego się podniecenia, znika z reguły zdolność refleksyjna walczących i żołnierz coraz bardziej staje się niewolnikiem pier- wotnych instynktów, które go nieraz pchają do najgorszych czynów.

To też z chlubą i dumą nie mniej- szą, niż z racji odniesionego zwy- cięstwa możemy stwierdzić że w wal- kach tych żołnierz polski nigdy nie splamił się mordem ani gwałtem.

Od pierwszych dni walk, aż do dnia zwycięstwa, pozostawałem w sze- regach walczących i nieraz widziałem to krwawe żniwo wojny, ścielące bruki i ogrody miasta ludzkimi sнопami. Nigdy jednak nie widziałem po naszej stronie ani jednego faktu znęcania się nad rannymi i jeńcami!

I nigdy nie słyszałem słów niena- wiści i zemsty.

Nawet gdy po stronie nieprzy- jaciela zapanował krwawy terror, a urzędowe obwieszczenia zapowia- dały śmierć każdemu nie w mundur ruski przebranemu, schwytanemu z bro- nią w ręku (a wszak trzy czwarte z nas walczyło w cywilnym ubraniu) gdy wyszedł ten sławny „ukaz” godny Murawjewa, że w domu, z którego strzał padnie, wszyscy mężczyźni będą rozstrzelani, gdy coraz częstsze, coraz liczniejsze dochodziły nas wieści o strasznych mordach, o rodzinie Miechońskich, o Lintnerze, Drożdzie, Adasiu Michalewskim, Czesnakowej i o tym mordzie nad mordami na Zamarsynowie, którego ofiarą padły przeważnie nieletnie, bezbronne dzieci, nawet i wtedy nie przysłonił nam oczu krwawy omam, nie rozpętał w nas zwierzęcia i nie zamienił żołnierza w mordercę!

Lecz słowa moje, może mało znajdują wiary więc niech oni mówią! Nasi nieprzyjacie!l

Przytaczam wyjątki dwóch listów, wysłanych do Komendy Ukraińskiej.

Wasza Miłość!

To pismo piszę w ważnej sprawie, dobrej sławy Komendy i Narodu.

A mianowicie: Przychodzą ludzie do Polskich Komend, którzy zeznają w protokołach, że postępowanie naszych ludzi z pojmnymi w niewolę Polakami, jest nietakiowne, a nawet szorstkie i nieludzkie.

To oburzyło mnie jak i moich towarzyszy, gdyż można się bić, a za linią obchodzić się, jak z bratem.

Piszę w imieniu własnem, starszyzny i strzelców i proszę: 1. Aby oficerów Polaków trzymano w zakratowanych pokojach i dawano taki wikt jak nam, to trzeba zauważyć, że gościnność i taktowne obchodzenie się z nami, wprost dziwi nas. Możemy być Polakom tylko wdzięczni.

Hryćko Trus

Pułkownik Narodowej Armji.

Do objaśnienia następnego pisma, pokrótce nadmieniam, że główny nasz szpital, mieszczący się w Technice, mimo, iż leżał opodal terenu walk

i wogóle wojennych operacji, był ustawicznie ostrzeliwany i bombardowany przez Ukraińców.

To spowodowało Komendę szpitala, neutralnych lekarzy byłej armji austriackiej i pełnomocnika duńskiego Czerwonego Krzyża Mj. de Gourlanda do wniesienia protestu do rąk ukraińskiej Komendy.

Do protestu tego, przyłączyli się przebywający w szpitalu ukraińscy oficerowie i żołnierze i załączyli od siebie list, którego część przytaczam w tłumaczeniu:

„przyłączamy się w całej osnowie do prośby Komendy szpitala, aby ukraiński wojska, a przede wszystkim artylerja, przestały ostrzeliwania budynku Politechniki, zaznaczając równocześnie, że dotychczas dzięki ludzkości polskich lekarzy, lekarów i szpitalnej Komendy, nie robiono żadnej różnicy między polskimi, ukraińskimi i żydowskimi rannymi i chorymi.

Porucznik Roman Karatnicki, Nykoła Bużar, por. Omelian Siczynskij i w.i.“

Te dwa pisma, pozostaną dla nas na zawsze najwspanialszymi świadectwami, jak żołnierz polski i lekarz, pojmowali walkę i miłosierdzie.

Trwało to trochę — zanim zapisali sobie, każdy z nich o co innego pytał i co innego notował. Wreszcie skończyliśmy ten interwiew „na froncie“ i chciałem już pożegnać delegatów, wzywali mię bowiem ustawicznie, kiedy ni z tego ni z owego pan Schröder wstał i złożył oświadczenie, że przybyli oni tu z miasta nie tylko jako dziennikarze ale i jako ochotnicy, prosząc o wyznaczenie służby na posterunku.

Pomyślałem więc: „no, masz babo redutę! od razu aż troje! I to pcha się na front, na linię!“

Ale trudno! Zawołałem kaprała służbowego i poleciłem mu przy zmianie posterunku wyznaczyć tym panom miejsce na skrzydle prawym — ku Podzamczu.

Po cichu powiedziałem mu jednak, by posterunku tego nie zmieniał za godzinę, jak było zarządzone — ale aż na mój osobny rozkaz.

Mroźno było wtedy i przenikiwe zimno dochodziło do skóry.

Sądziłem więc, że jak postoją sobie 2—3 godziny, to odechce się im wojny.

Po 10-tej, a więc po trzech może godzinach — zbliżył się do mnie jakiś kolejarz i powiedział, że u wylotu gmachu na prawem skrzydle stoi posterunek, który przemarzł zupełnie i prosi o zmianę, bo już trzy godziny pełni służbę.

Przypomniałem sobie naszą prasę i natychmiast poleciłem zmienić ten posterunek. Za parę minut byli już nasi ochotnicy w lokalu komendy. Szczepański, więcej wytrzymały, zziębnięty, ale nie narzekał, Schröder trząsł się ze zimna, dygotał i wygadywał na nieporządku, wiedział bowiem, że „warta“ stoi tylko godzinę, w czasie mrozu i mnie, Walicka zaś, więcej zielona i fioletowa ze zimna i wiatru nie robiła sobie wiele z tego wszystkiego, napiła się lampką koniaku, zakąsiła pomadką, bośmy te specjalny mieli z konieczności — no i od razu wyraz twarzy stał się wesołym. Schröderowi odstąpił swoje legowisko, na wilczem futrze na podłodze, śp. Władek Kolbuszowski, Szczepański chodził tylko po pokoju — jak bocian i drzemał. Tak może z godzinę spędziliśmy czas.

W tem patrolu nasze zaczęły się cofać ku siedzibie placówki naszej; wróg napierał, rozpoczęła się kilkugodzinna bitwa, jedna z największych w czasie obrony Lwowa. Atakowali Siczownicy w sile 300 ludzi. Nie wiem co tam nasi dziennikarze wyczyniali w tym czasie. Byłem ranny na dole, w westibulu i odszedłem dla zaopatrzenia rany. Obok mnie padł Kolbuszowski. Kiedy wróciłem po 4-tej nad ranem, by dowiedzieć się jaki bitwa wzięła obrót spotkałem na ulicy Dojazdowej grupkę ludzi wśród których rozpoznałem naszą trójkę dziennikarską.

Dźwigali oni na swych ramionach, na noszach, ciężko rannego por. Jan-

Z. ZYGMUNTOWICZ.

Z przeżyć na Dworcu, w listopadzie 1918 roku.

Zajęliśmy dworzec główny. Przez cały dzień 3-go listopada krzątaliśmy się około obsady tej placówki a zarazem musieliśmy staczać walki z grabieżcami, którzy ze wszystkich stron podkradali się na towarowy dworzec, gdzie kilkaset wagonów stało jeszcze z żywnością i różnymi innymi towarami.

Zasadniczo byliśmy tylko placówką wojskową, obsadzając dworzec psuwaliliśmy się ku Podzamczu, ku Zimnej Wodzie i w kierunku Skniłowa, pozostawiając komendzie tak służbę kolejową na dworcu, jak i obsadę techniczną.

Do wieczora spracowałem się tak, że ledwie taziłem; do tego przez zmęczenie, bo od 30. października prawie że nie spałem, zdenerwowanie i wskutek ogólnej depresji ledwie na nogach utrzymać się mogłem. Przedwieczorem objął komendę tej placówki por. de Laveaux, który otrzymał ze szkoły Sienkiewicza dwa plutony, jako wzmocnienie załogi, obsadził wszystkie placówki, wysłał patrole i przygotował się do odparcia ewentualnego ataku wroga.

O tej porze pełniłem służbę oficera dyżurnego. Mieściliśmy się wtedy w t. zw. apartamencie cesarskim na lewem skrzydle dworca, gdzie urzędowała komenda, sztab, sanitariat i dyżurni.

Około 6-tej wieczorem meldują mi, że jacyś panowie z miasta chcą dostać się do komendy i proszą o wywołanie oficera dyżurnego.

Jeden z nich, starszy już, poważny, zrobił na mnie wrażenie przewodniczącego delegacji, drugi, o wiele młodszy, nerwowy, rzutki i wymowny, a ten trzeci ze środka, niby chłopiec — niby kobieta, o twarzy niewieściej w portkach wojskowych, o oczach palących się z ciekawości i żądzy przygód sensacji — wszyscy razem jacyś niesamowici. Uzbrojeni w karabiny i naboje.

Nie wiem, jakie ja wrażenie na nich zrobiłem. Oczekiwali „komendanta“ — a tu wyszedł cywil w jakimś „kajzer-roku“, zarosnięty i wymęczony, z karabinem zawieszonym na plecach; u boku rewolwer.

Przedstawiamy się i dowiaduję się, że ten starszy pan to redaktor Ludwik Szczepański, ten drugi Artur Schroder a „to trzecie“ to pani Łada-Walicka, wszyscy dziennikarze z Gazety Lwowskiej i Wieczornej, przyszedli z miasta po wiadomości.

Dobra jest! Usiedliśmy i opowiedziałem o wszystkim od dnia przybycia do szkoły Sienkiewicza do czasu zajęcia Lwowa.

kowskiego Włodzimierza, który w bitwie na dworcu — stracił nogę od granatu ręcznego, rzuconego przez żołnierza ruskiego.

Dotrwali więc na dworcu do rana, zajęli się rannymi i odmaszerowali potem z ciężko rannym na ramionach do szpitala na technice.

Później ukazała się „Pobudka“ codzienne pismo polskiego Lwowa,

pismo Wojska i walczącego Polskę! Wśród wojska była duża radość!

Założycielami i redaktorami „Pobudki“ byli nasi ochotnicy i dziennikarze lwowscy: Artur Schröder, Szczepański i Łada-Walicka.

Niechaj to wspomnienie będzie odzwierciedleniem tych pięknych i wielkich chwil, które przeżyliśmy lat temu dziesięć!

Krakowianin, żal i wstyd i gniew pałacy, że Kraków tyle długich dni dał czekać Lwowowi na pomoc, Lwowowi krwawiącemu się w walce z dwudziestą, ba, trzydziestokrotną przemocą hajdamacką! I wreszcie doznaję znów tej oszałamiającej radości, tej dumy tryumfalnej, gdy pod naporem garści wojska, polskiego zuchwali najeźdźcy czmychali ze Lwowa...

Jakież to drogie, bohaterskie miasto ten nasz Lwów! Kto, nie będąc Lwowianinem, przeżył listopad 1918 we Lwowie, ten na wieczne czasy czuje się z nim związany. I ufa, że już nigdy ta kresowa stolica polskości nie da się zaskoczyć zdradzie i buntowi. Stać będzie czujnie na straży!

Kraków, dn. 18. listopada 1928.

Ludwik Szczepański
Redaktor „Il. Kurj. Codz.“



List do Redakcji.

Kochany Redaktorze!

Tak późno otrzymałem zaproszenie do współpracy w jubileuszowym numerze „Pobudki“ że nie zdążyłem nakreślić jeno kilka bezładnych słów. Bezładnych, powtarzam, bo w tej oto chwili, gdy staram się myślał przenieść w one dni listopadowe roku 1918, rój wspomnień faluje i ciśnie mi się do głowy barwnie i szumnie. Przed oczami stają mi znów żywe, nigdy nie zapomniane obrazy scen to heroiczych, wstrząsających grozą, wspaniałych, to żałosnych i groteskowo śmiesznych... Uprzytomniam sobie znów nastroje, jakie przeżywałem od owej chwili, gdy rankiem dnia 1 listopada zerwałem się z łóżka na huk strzałów karabinowych i z rozpaczliwą wściekłością pomyślałem: A więc daliśmy się przecie zaskoczyć hajdamaczyźnie z Austrią konającą w znowie!

Z tą Austrią, która jak wąż zdeptany w ostatnim wysiłku ukąsiła nas zębem jadowitym! I widzę nas, jak w niedzielę d. 3 listopada o godz. 3.

popoł. kroczyliśmy przez Ogród Jezuicki, aby się przedostać „na polską stronę“: Janina Walicka, Ty i ja. Tak w szkole Konarskiego zaopatrzyliśmy się w karabinki — pierwszy raz miałem Mauzera w rękę! — jak wieczorem podążaliśmy na dworzec... Jak nas wysłano jako patrol na tor kolejowy i jak wartowaliśmy przez trzy godziny wśród czarnej dżdżystej nocy, rozświetlonej krwawo groźną łuną palącej się daleko magazynów... I widzę się znów w miłym dwupokojowym mieszkanku profesora Szaroty, który mnie bezdomnego wówczas przygarnął, na II. piętrze najwyższej kamienicy przy ul. Nabelaka — i słyszę, jak salwy karabinowe spływają w jeden niekończący się, falujący grzmot i gwizd... I wraz z prof. Szarotą późną nocą otwieram okno, wychodzące na drogę Wulecką, i wsłuchujemy się w piekielną muzykę kul, dzwoniących gładem po niższej położonych dachach, blachą krytych. I odczuwam znów, jako

Redakcja Pobudki poczuwa się do miłego obowiązku złożenia na tem miejscu podziękowanie Wszystkim, którzy swym obywatelskim współudziałem przyczynili się do wydania jubileuszowego numeru, a więc wszystkim autorom artykułów za bezinteresowne prace oraz bezimiennym współpracownikom za okazaną pomoc.

Klisze wykonała bezinteresownie kliszarnia „Ars“ (Sykstuska 32) zaco Redakcja składa jej wyrazy podziękowania.

Wydawca: Komitet Obywatelski Obchodu 10 rocznicy Obrony Lwowa. — Redakcję tworzą: Janina Łada Walicka (Lwów) Artur Schroeder, (Kraków) Ludwik Szczepański, (Kraków).

Cena 50 groszy.

MAGAZYN
specjalno - galanteryny

Władysław Ciechulski i Syn

Lwów, Legionów 5.

„Casino de Paris“ ul. Rejtana 3
pod dyrekcją Franciszka Moszkowicza.

Nie dziwnego, że wytworny ten lokal wprowadzający widza w złoty humor rozpraszający najczarniejszą melancholję, codziennie jest przepelniony wykwiutną publicznością, programy bowiem są bezsprzeczne „clou“ sezonu. — Niechaj zatem nikt nie zaniedba okazji zobaczenia prawdziwie artystycznego widowiska kabaretowego w „Casino de Paris“.

M. WALICHIEWICZ
siodlarz i rymarz

torebki damskie, kuferki,
wszelkie roboty w zakresie
rymarstwa wchodzące

WŁADYSŁAW BUSZEK

FABRYKA I MAGAZYN BIŻUTERJI I SREBRA STOŁOWEGO — ZEGARÓW I ZEGARKÓW
Lwów, ul. Akademicka 1. 6.

MIEJSKA KASA OSZCZĘDNOŚCI WE LWOWIE.

Z rządu instytucji finansowych, które dzięki swej działalności, w organizmie gospodarczym naszego miasta wybitniejszą odgrywają rolę, bezsprzecznie na pierwszym miejscu postawić musimy **MIEJSKĄ KASĘ OSZCZĘDNOŚCI**, zwłaszcza od czasu kiedy bardziej normalne stosunki gospodarcze w państwie stworzyły warunki pomyślnego rozwoju dla idei oszczędności. Krzewienie bowiem w społeczeństwie zasady oszczędności, oraz danie każdemu możliwości korzystnej lokaty, choćby najdrobniejszych kwot, jest naczelnym zadaniem Kas Oszczędności.

Zadanie to wypełnia M. K. O. w ogromnie szerokiej mierze, obejmuje bowiem propagandą wszystkie sfery społeczeństwa naszego grodu oraz całego powiatu, szczególny zaś kładzie nacisk na rozwój idei oszczędności wśród młodzieży szkolnej, wydając specjalne broszury, obrazy i zakładając po uczelniach „SZKOLNE KASY OSZCZĘDNOŚCI”. Praca ta wykonywana z prawdziwie obywatelską gorliwością, wydaje poważne rezultaty jak to z opublikowanych sprawozdań i grafików wynika, wystarczy przytoczyć cyfry obrazujące ruch wkładowy w ostatnim czteroleciu i tak:

W roku	1924	stan	wkładek	wynosił zł.	548.992	na	20.027	książeczkach.
"	1925	"	"	"	4,592.807	"	23.950	"
7	1926	"	"	"	10,379.042	"	30.634	"
"	1927	"	"	"	21,689.264	"	38.975	"
"	1928	"	"	"	33.069.357	per	31. września.	"

W okresie tym powiększył się zatem ogólny stan wkładek 60-cio krotnie.

Podobnie działalność kredytowa Kasy tak w dziale pożyczek krótko-terminowych jak i długoterminowych przyczynia się coraz wydatniej do ożywienia naszego rynku handlowego i przemysłowego a nawet i rolniczego. W roku 1927 skupiono weksli 48.236 sztuk na kwotę 50,000.000 zł. — Kredytem hipoteczno-budowlanym, którego w tym roku udzielono prawie na 6,000.000 zł., rozwinęto znacznie ruch budowlany, łagodząc w wysokim stopniu klęskę bezrobocia. Z kredytu tego korzystali również obficie właściciele realności, rekonstruując, odnawiając czy też nadbudowując swe budynki.

Przez uruchomienie w roku 1924 działu rach. bieżących uzyskała Kasa znaczne powiększenie swych kapitałów obrotowych. Obrót roczny w tym dziale według sprawozdania za rok 1927 wynosił ponad 160,000 000 zł. Zaznaczyć przytem należy, że dział ten prócz klienteli prywatnej obsługuje również gminę m. Lwowa oraz Miejskie Zakłady.

Podobnie oddaje znaczne usługi ludności naszego miasta oddział zastawniczy M. K. O., wystarczy przytoczyć, że w roku 1927 przyjęto 34.358 zastawów na które udzielono zaliczek w łącznej kwocie 2,844.442 zł.

Podkreślić również należy stan funduszy rezerwowych, które ulokowane w realnościach, w papierach państwowych oraz akcjach Banku Polskiego wzrosły już do kwoty 1,394.556

W roku obecnym obchodzimy DZIESIĘCIOLECIE NIEPODLEGŁOŚCI OJCZYZNY, w roku tym ufundowała Kasa dwa piękne pawilony wakacyjne dla najbiedniejszej dziatwy Lwowa w Brzuchowicach, nie przestając jednak na tem Dyrekcja w głębokim zrozumieniu, że tak niepodległość jak i mocarstwowe znaczenie naszej Ojczyzny warunkuje tylko gospodarczy jej rozwój, przygotowuje otwarcie nowej placówki w postaci swego oddziału na dzielnicy Gródeckiej. Otwarcie oddziału nastąpi w ciągu listopada br. Czyn ten zdoła niewątpliwie wśród licznych mieszkańców tej części miasta oraz wśród patriotycznych sfer kolegarzy, przyczynić się do silniejszego i skuteczniejszego krzewienia zmysłu oszczędności, a co zatem idzie, do wydatniejszego rozwoju gospodarczego naszego grodu.

Dostawca Klinik, Szpitali, Kas Chorych

MAGAZYN MEDYCZNY

STANISŁAW BARAN

LWÓW, AKADEMICKA 26.

WSZELKIE NARZĘDZIA LEKARSKIE

Wózki i fotele dla chorych. Artykuły gumowe i ortopedyczne. Wszelkie nowości medyczne i chirurgiczne!

CENY FABRYCZNE.

„ZAKOPANE”

Antoni Moor i Jerzy Stachowicz

HANDEL DELIKATESÓW
Lwów, Akademicka.

Księgarnia Polska B. Połonieckiego, Lwów

Sortyment polski i zagraniczny i magazyn, Akademicka 2a

Wydawnictwa, introligatornia, drukarnia. Chorażczyzny 27

„Bijou”

Bizuterja paryska

A. ŚLIWIŃSKA

Lwów, ul. Legjonów.

Z. TELICZEK

Handel delikatesów i pokój do śniadań

LWÓW, UL. AKADEMICKA.

Magazyn Nowości dla Pań i Dzieci

Zygmunt Flitter

Lwów, Plac Halicki 3

Tel. Nr. 56-43.

N A R O K 1929
KALENDARZE

firmy

PILLER - NEUMANN

żądajcie w waszym sklepie papierowym.

BLOCZKOWE olbrzymie, średnie i małe — TYGODNIOWE na biurko w oprawie okienkowej i zwyczajnej — BIBUŁOWE podkładki na biurko — NOTESOWE
DZIENNICZKI, KIESZONKOWE, ŚCIENNE, ARKUSZOWE, MINIMALNE, MOTYLKOWE

Rok zał. 1772.

Rok zał. 1772.

DRUKARNIA I LITOGRAFJA

PILLER - NEUMANN A

LWÓW, UL. ŁYCZAKOWSKA L. 3 — TEL. 7-27.

Ala ville de Paris

Gabryel Stark

Lwów, pl. Marjacki 11

Bielizna	Krawaty	Kufry
Kapelusze	Rękawiczki	Pledy
Plaszcze	Pończochy	Parasole
Obuwie	Chustki	Perfumerja

**MAGAZYN TOWARÓW
BŁAWATNYCH I PŁÓCIEN**

ANTONI UWIERA

LWÓW, UL. HALICKA L. 10

Państwowy Bank Rolny

**ODDZIAŁ WE LWOWIE
ULICA PIŁSUDSKIEGO L. 25**

**Telefon Nr. 42-70, 48-80 (ogólny)
„ 42-71, 48-72 (Dyrekcja)**

SKRÓT TELEGRAFICZNY: „P E B R O L“.